Nr. 5. Lwów, dnia 1. Maja 1894. Rok XVII.



PRENUMERATA ROCZNA: 10 marek, 5 złr., 5 rs., 12 franków.

ORGAN GAL. TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO.

WYCHODZI z początkiem każdego miesiąca.

Z krainy lotów.

Napisał

WŁADYSŁAW SPAUSTA.

Zrywanie się do lotu. — Skrzydła. — Budowa kości ptaków. — Oddech w rozrzedzonej atmosferze. — Wpływy wiatru. — Zataczanie kół. — Wywracanie koziołków. — Wzlot pionowy. — Zawisanie w powietrzu. — Dźwiganie ciężarów. — Szybkość lotu. — Pierzenie. — Grupy ptactwa łowieckiego według lotu i wagi ciała. — Lot postępowy. — Szybkość wachlowania. — Zapadanie.

III.

We wszystkich wypadkach, w których ptak się wznosi pionowo, wskazują silne ruchy skrzydeł na ogrom wykonywanej pracy. Ma on wówczas zwalczyć opór powietrza spokojnego nad sobą, a słabe tylko oparcie znajdują skrzydła w powietrzu spodnim, które znajduje się w ruchu ustępującym.

W praktyce łowieckiej zdarza się, iż ptak, n. p. słonka, po strzale wznosi się raptownie w górę do niezwykłej wysokości, w kierunku, w jakim ten ptak w stanie normalnym nie zwykł latać. Po chwili jednak poczyna koziołkować i spada nieżywy. Słonka ta niezawodnie postrzeloną została w głowę, opuściła ją więc świadomość, a póki życie nie uleciało, trwał ruch skrzydeł i za tem idące wznoszenie się w linii pionowej. Objaw pionowego lotu słonki daje się dostrzegać tylko w patologicznym stanie ptaka, bo zresztą tylko ze ziemi zrywa się słonka w pionowym kierunku.

Zawisanie w jednem miejscu bez żadnego ruchu postępowego jest również sztuką, wykonywaną przez wiele gatunków a osobliwie przez ptaki drapieżne. Podobnie jak zataczanie kół ma też i zawisanie swoją porę, mniej lub więcej praktyce sprzyjającą. Wprawdzie ptaki zawisające potrafią i w przelocie pochwycić zdobycz, jednak bywają dni i pory roku, w których, korzystając zapewne z prądów atmosferycznych, mnóstwo tego ptactwa w ten tylko sposób wykonuje łowy. „Bore sia z witrom“ jak lud na Rusi mówi, rybołów (*Pandion*) nad wodami, wpatrując się w ciemną toń, póki nie dojrzy poruszającej się tam zdobyczy; to samo czyni zwykły myszołów, pustułka, dybiąc nad łanem za myszą, a w porze zimowej nieraz bardzo długo wisi w powietrzu myszołów włochaty nad śnieżną płaszczyzną. Nawet lekki kobczyk (*Erythropus*) zawisa często w powietrzu i spada na dostrzeżoną szarańczę, turkucia lub inny owad.

Określenie tej ewolucyi przez lud, jakkolwiek nie tłumaczy rzeczy, wskazuje przecież, iż ptaki wykonują to wśród wiatru. I w samej rzeczy praktykę tę najczęściej dostrzegać można podczas jednostajnego wiatru. Ptak zawisnąwszy zwraca się głową ku prądowi, a wachlując szybko skrzydłami i przeniósłszy środek ciężkości ciała jak najniżej i jak najbliżej punktu zaczepienia skrzydeł, opuszczeniem na dół głowy i skurczeniem szyi, unosi się literalnie na prądzie. Ułożenie skrzydeł więcej poziomo i ruch tychże nieco ku tyłowi zwrócony, utrzymują ciało w jednym punkcie nie dając go unieść prądowi.

Sądzę, że istnienie wiatru nie jest koniecznością dla zawisania w locie, rzecz to jednak pewna i doświadczeniem stwierdzona, że ptaki zawisające korzystają z wietrznej pory, która w każdym razie praktykę tę ułatwia, i umożliwia wykonywanie jej przez długi czas bez wielkiego wysiłku.

Oprócz pomienionych ptaków drapieżnych w znaczeniu ornitologicznym, zawisają również w powietrzu srokosz (*Lanius excubitor*), rybołówka białoczelna (*Sterna minuta*) prawdopodobnie w tym samym celu jak ptaki drapieżne, bo widzimy je nieraz, jak raptem z pozycyi tej spadają na ziemię i zdobycz chwytają.

Lot pionowy, zawisanie w powietrzu, jakoteż unoszenie w locie wielkich stosunkowo ciężarów poucza, że musi tam być wielki nadmiar siły. Drapieżce porywają i unoszą w szponach lub w dziobie zdobycz, inne znoszą materyały do budowy gniazd, i niewiększy podziw wzbudza orzeł, unoszący w obłoki zająca, jak drobna ptaszyna, ciągnąca w locie kawał patyka, szmaty i t. p.

Zestawienie stosunku wagi motora i ciężarów wykazałoby częstokroć większą pracę mechaniczną drobnego ptaszka. Widziałem dnia 16 grudnia 1889 srokosza, jak po kilku zamachach wśród zapustu świerkowego, złapał sikorę modrą, przeleciał z nią całkiem lekko kilkadziesiąt kroków i usiadł na szczycie olchy, trzymając nieżywego już ptaszka dziobem (nie szponami) za główkę i kołysając nim niby dzwonkiem. W ostatnich latach robiono w Rosyi próby tresury sokołów do przenoszenia depesz, a zajmujący się tem oficer Smojłów podaje, że sokół obciążony 4 funtami rosyjskiemi t. j. 1640 gramami nie okazywał w locie żadnych zmian. Gdyby niezawsze dający się w swych kaprysach przewidzieć humor ptaków drapieżnych dał się w tresurze ustatkować, to ptaki te niezawodnie korzystniej mogłyby spełniać funkcye gołębi pocztowych, osobliwie w przelotach przez kraje przepełnione rozmaitą drapieżną a wiecznie głodną hołotą skrzydlatą, przez które gołąb pocztowy przemknąć się nie może. Gołębie wyjątkowo tylko osiągają w locie tę chyżość, jaką posiada w normalnym stanie sokół wędrowny; przelatuje on 15 mil na godzinę, podczas gdy gołąb w przecięciu od 8 - 10 mil w tym czasie ulecieć jest w stanie. D' Aubusson w swem dziele o sokolnictwie opowiada, że sokół wysłany z wysp kanaryjskich do księcia Lermy w Andaluzyi, powrócił ztamtąd do Teneryfy w 16 godzinach, przeleciał zatem 250 mil z szybkością przeszło $15^1/_2$ mil na godzinę.

Gdyby u ptactwa nie istniał wielki nadmiar energii lotu, to w pewnych porach ustaćby musiała możność lotu, n. p. w porze pierzenia się, nadzwyczajnego oblania ciała tłuszczem i t. p. Jesienne przepiórki, chruściele, kurki i t. p. ptactwo ociężałe wcale by nie mogło podołać zadaniu, jakie go czeka o tej porze.

Mimo jednak nadmiaru energii, wypierzenie raptowne u niektórych gatunków, jeżeli nie pozbawia ich w zupełności lotu, to przecież utrudnia go o tyle, iż ptak, wiedząc o swojej w tej porze nieudolności, bardzo niechętnie się porywa i wszelakich używa sposobów, aby uniknąć lotu.

Wszystkie pióra, z których organa lotu się składają, noszą na sobie cechę zasadniczego planu, według którego zbudowaną jest zbiorowa tychże powierzchnia. W każdem pojedynczem piórze powtarza się tu mniej lub więcej skręcona powierzchnia, w jakiej się nam skrzydło przedstawia, a doświadczenia wykazały, iż możność lotu trwa nawet po odjęciu bardzo znacznej partyi piór w skrzydłach.

Lot ptaka pozostaje niezmienionym po odjęciu połowy lotek przedramieniowych, a równowaga w locie nie zostaje zwichniętą po jednostronnej takiej operacyi. Podobnie nie zmienia się widocznie lot po odjęciu połowy lotek przedramieniowych i czwartej części lotek rękowych, ale bardzo mozolnym jest lot po odjęciu obustronnem połowy lotek rękowych, z czego też szczególniejsze znaczenie tychże dla lotu wypływa, gdyż lotki te, najdalej od środka ciała odsunięte, największą siłę unoszącą wytwarzają. Niemniej mozolnym jest lot po odjęciu nieparzystych piór w lotkach rękowych, podczas gdy odjęcie parzystych mało na lot wpływa. Doświadczenia z unieruchomieniem stawu rękowego, w obec czego ptak silnie poruszając skrzydłami ani się zerwać ani latać nie mógł, a podrzucony w górę spadał niby na spadochronie, udowadniają, że pewne zgięcia i skurcze skrzydła tak dla zerwania się jak i dla lotu są niezbędne, pomimo, że niedokładny nasz wzrok nie u każdego ptaka ruchy te dostrzedz zdoła. Przytoczone tu próby wykonane były na wróblu, zatem na ptaku a stosunkowo lekkiem ciele a wielkich skrzydłach, bo na 1 klgr. ciała wróbla wypada 41 centym. □ powierzchni skrzydła, podczas gdy na 1 klgr. gołębia tylko 15 centym. □ przypada. Podobne próby z krukiem i gołębiem do podobnych i tylko stopniowo różniących się doprowadziły wyników. Przy różnych stosunkach długości trzech głównych części składowych skrzydła i ogromnej kombinacyi mechanicznych działań tychże, muszą zachodzić różnice w szczegółach.

Wszystkie kniejotki, do których najwspanialsze okazy naszej łowieckiej ornis należą, a które szczególniejszej pieczy już dlatego wymagają, że stanowią stałą zwierzynę pewnych siedlisk, zrywają się bez wyjątku bardzo ciężko, wywołując przytem głośny szelest, poczem lot ich jest dość szybki mimo krótkich ale bardzo wypukłych skrzydeł. Jednak trudne to do rozmożenia ptactwo, pomimo wielkiej płodności, bo głuszec składa 7—11, cietrzew 8—14, a jarząbek również podobną ilość jaj. Otóż wśród rozmaitych powodów, które się składają na trudność utrzymania i rozmnoży tego szlachetnego ptactwa kniejowego, proceder raptownego pierzenia się niemałą tu odgrywa rolę, ułatwiając zdobycz niezliczonym chodzącym i latającym rozbójnikom.

Po ukończonych lęgach, najswpanialszy ptak naszych kniei, głuszec, po wysileniu jakiego ten najważniejszy epizod życia u obojej płci wymaga, a więc nadwątlony, przebywa raptowny proceder pierzenia. Ogołocony wówczas z połowy piór, przesiaduje ptak w trawach i zaroślach, i zdany na łaskę zmiennego losu, ginie marnie w zębach lub szponach drapieżnych włóczęgów kniei. I nietyle prześladowanie łowieckie stało się głównym powodem zatraty głuszców, ile przewaga innych nieprzyjaźnych okoliczności wśród uszczuplonych siedlisk i forsownej eksploatacyi lasów. Ruch jarmarczny wśród lasów, to największy wróg głuszcza; to też wyniósł się on obecnie w te miejsca, gdzie sama natura położyła granicę silniejszej eksploatacyi siedlisk, t. j. do zacisznych lasów górskich. Z tych rzadkich już po dziś dzień

zakątków dochodzą myśliwskiego ucha „puchania“ powabnych ptaków, i stąd urosło fałszywe wyobrażenie, że głusze: przyrody lasów górskich wymaga. Tymczasem przebywa on i w bagnistych lasach Augustowskich i w puszczy Kozienickiej, w lasach Lubocheńskich na Polesiu i na Poleskim Wołyniu, a sławna z tańca czarownic Łysa góra w paśmie Świętokrzyskim jest również schroniskiem głuszców, które niezawodnie ściągnęły się tu z lasów okolicznych umykając przed stukotem siekiery i ludzką gwarą wśród lasów.

Podczas gdy głuszec, płochy mieszkaniec spokojnej lasów natury, z każdym rokiem rzadszym się staje, inaczej się ma rzecz z pokrewnym cietrzewiem, któremu eksploatacya lasów nietyle wyrządziła krzywdy. Cietrzew godzi się chętnie, jak to niestety współczesna udowadnia praktyka, z przetrzebionemi i uszczuplonemi lasami i wśród wrzosowisk, mchem i rzadkim porostem drzewnym pokrytych halizn, pośród dawnych lasowisk pokrytych nieużytecznym krzewem, wśród podmokłych porzeczy i leniwych potoków leśnych — jednem słowem wśród silnie szarpniętej przyrody znajduje wygodne do rozmnoży miejsca. A przecież w tym dzikim labiryncie zaniedbania i wobec podobnych jak głuszec zwyczajów lęgowych, mimo wypierzenia, posuniętego aż do nieudolności lotu — wywalczaa sobie byt i w pewnych okolicznościach w bardzo liczne urasta stada. Urósłszy w ten sposób liczebnie, bez pojąć się dającej przyczyny, zmienia ten grymaśny ptak gromadnie miejsca pobytu i w innych znów okolicach, upatrując w nich nieznane jakieś powaby, zaludnia cietrzew do tego stopnia lasy, że stada 100 i 200 sztuk liczące nie należą do rzadkości. Tak jest jeszcze dziś w niektórych okolicach, którym chyba tylko tych stad cietrzewi zazdrościć można, bo wreszcie są to zaułki upośledzone zazwyczaj pod każdym innym względem.

Najmniejszy gatunek naszych kniejotków, jarząbek, niegdyś pospolity mieszkaniec wielkich kompleksów leśnych w górach i na podgórzu, z każdym dniem staje się rzadszym, i zbliża się niestety chwila, w której ptak ten, wymagający dla swej rozmoży spokojnej gęstwiny leśnej, stanie się prawdziwą rzadkością.

Wędrówki dalekie niektórych i tak już bardzo nieudolnych latawców, będących przedmiotem łowiectwa, przypadają w czasie, w którym ptak jest najbardziej tłuszczem oblany, a więc, jakby się zdawało, do wędrówki wcale nie zdolny. A jednak gatunki tu należące nie w inny sposób jak tylko na skrzydłach odbywają długie podróże, i znaleźć je można najpunktualniej w porze jesiennej w krajach, gdzie zwykle zimę przepędzają.

Należy tu przedewszystkiem kilka gatunków drobnej i pod względem kulinarnym nie dość cenionej zwierzyny, jak: chruściel wodny (*Rallus aquaticus*), kurka wodna (*Rallus porzana*) i kurka zielononoga (*Rallus minutus*). Natura, wyposażając to ptactwo szczególniejszym charakterem w nogach, odmówiła mu sprytu w locie; są to znakomite biegusy ale najsłabsze latawce, dlatego też dają się chwytać łatwo na byle jakie ponoża, siłka i t. p. O chruścielu wodnym można śmiało powiedzieć, że lot jego jest jeszcze niedołężniejszym od lotu pokrewnego mu derkacza czyli chruściela łąkowego (*Crex pratensis*). Ptak ten bardzo niechętnie się porywa i często nie możnaby się dowiedzieć o jego obecności, gdyby po strzale do czego innego nie zgłaszał się sam silnem huczeniem.

Wygląd tych wszystkich wspomnianych tu niedołęgów w chwili wzlotu, robi wrażenie, jak gdyby ptak jeszcze przed strzałem legł postrzelony. Wrażenie to wywołują bezwładnie w dół spuszczone nogi, objaw, który dostrzegać się daje u innego ptactwa po skutecznym strzale. Lot oblanych w jesieni przepiórek, gdy waga ciała niemal w dwójnasób się powiększyła, jest nadzwyczaj szybki, jednak nie trwa długo. Ptak, porwawszy się widocznie z wielką forsą, o czem świadczy głośny szelest, i podniósłszy się do nieznacznej wysokości ponad ziemią, leci dalej zniżając się coraz więcej, jak gdyby się sunął popędem nabranej siły żywej. Wypłoszona przepiórka, jeżeli z jakichkolwiek powodów nie może zapaść na polu, jako na swojem właściwem siedlisku, nie unosi się prawie nigdy na zbyt daleką metę, nie przelatuje innych kultur n. p. partyi lasu, ale zapada wśród zarośli, przesiaduje tam nieraz dzień cały i piechotą powraca na dawne miejsce.

Objawy te w locie przepiórek, niechęć zrywania się i nieudolność w locie wspomnianych łąk i wód mieszkańców, wyrobiły prawdziwie rozpaczliwe posądzenie, jakoby ptactwo to w swych wędrówkach używało szczególniejszych forteli, aby się dostać do celu podróży. Chruściela posądzają nawet niektórzy naturaliści, że piechotą odbywa swą na południe wędrówkę. Otóż posądzenia te nie są bynajmniej słuszne, a powstały na gruncie niedostatecznego ocenienia fizycznej możności lotu, gdy się nieprzeparta żądza wędrówki obudzi.

Wielki jest nadmiar fizycznej możności lotu nawet u tych gatunków, które przebywając u nas podczas lata, gdzieś nad polską łąką lub wodą, wcale nie chcą święcić tryumfów skrzydła. Przebycie morza Śródziemnego choćby na najdogodniejszych rutach, obfitujących w liczne stacye na wyspach, daje w każdym razie dosadnią miarę możności. Żeglarze mieli na własne oczy oglądać całe stada przepiórek, spoczywające na falach morskich, a twierdzą to samo i niektórzy przyrodnicy, utrzymując zarazem, że nadlatujące do afrykańskich brzegów stada przepiórek są tak podróżą zmęczone, iż w stanie na pół żywym siadają na pierwszej lepszej ławicy brzegu morskiego. Twierdzenia te jednak nawzajem się wykluczają, bo jeżeli ptak może spoczywać na falach morskich, to mógłby sobie częściej urządzić tę przyjemność i nie nadlatywałyby w stanie na pół żywym do afrykańskich brzegów.

Z pośród ptaków o wielkich skrzydłach w stosunku do ciała i tegoż wagi, mała tylko część odznacza się i szybkim i wytrwałym lotem, jakim częstokroć popisują się ciężkiego tułowia ptaki krótkoskrzydłe, jak kaczki dzikie, cyranki, wytrzymujące ptaka drapieżnego nawet w pogoni na długą metę.

W łowieckiej naszej ornis spotykamy najrozmaitsze kombinacye czynników lotu. Patrząc z punktu utylitarnego na rzecz, pominąwszy zatem gatunki, stanowiące bądź negatywę łowiectwa, bądź mające znaczenie dla kultury ziemiańskiej, uwzględnić musimy wagę i jakość mięsa, gdyż ostatecznie dwa te warunki decydują o użytkowej wartości ptaka. Ptak lekkiego ciała a wielkich skrzydeł jest dla łowiectwa zanadto eteryczną istotą. To też do ptactwa łowieckiego należą ptaki o ciężkim tułowiu i krótkich skrzydłach, odznaczające się w locie silnem i szybkiem wachlowaniem, nie latające zazwyczaj wiele, ale w locie szybkie, i gdy potrzeba wymaga wytrwalsze, niż by to z codziennych objawów sądzić wypadało, opatrzone wielkim zasobem siły muskularnej, która polega na nadzwyczajnym rozwoju mięśni piersiowych, od czego znów waga ciała zależy.

U szczytu tego szematu, mającego pewną praktyczną wartość, a ułożonego na podstawie stosunku skrzydeł do wagi ciała, znajdują się najszlachetniejsze gatunki ptactwa

łowieckiego, jak: głuszce, cietrzewie, jarząbki, kuropatwy, dropie, strepety, bażanty i przepiórki. Niektóre z ptactwa wodnego stanowią przejście do drugiej grupy, do której zalicza się większość ptactwa błotnego, wreszcie do grupy trzeciej należy ptactwo niby to łowieckie, ale nie użyteczne jako zwierzyna, tj. czaple, bąki, rybitwy, czajki i t. p. o wielkich skrzydłach a lekkiem ciele.

Ilość mięsa, jaką na ptaku znajdujemy, rośnie w prostym stosunku z wysokością rozmiarów grzbietu kości mostkowej, a grzbiet ten stanowi cechę charakterystyczną ptaków latających, bo brak go u takich, które nie latają n. p. u strusia. Rozmiary grzbietu kości mostkowej wskazują muskularną siłę lotu, bo powiększone muskuły i większej powierzchni do przyczepienia się wymagają.

* * *

Ptak, odłączywszy się raz od stałej podstawy, na której spoczywał, wykonał już wielkie dzieło mechanicznej pracy. Lot następny t. j. ruch postępowy w locie, jest już o wiele mniejszem zadaniem.

Pominąwszy niektóre wyjątkowe sposoby lotu, o jakich już wspominałem, żaden ptak w locie postępowym nie zachowuje linii prostej w płaszczyźnie pionowej. U niektórych gatunków zygzakowatość tej linii wpada aż nadto wyraźnie w oczy n. p. u wszystkich małych ptaszków z rodzaju ziembowatych, u innych wszakże wzrok nasz zygzaków tej linii odróżnić nie jest w stanie, ale błyskawiczna fotografia lecących ptaków daje nam o tem niejakie wyobrażenie. Lot przeto jest połączony zawsze z opadaniem i wznoszeniem się ciała, skutkiem czego przy równoczesnym ruchu postępowym wytwarza się owa mniej lub więcej wyrazista linia fal lub zygzaków, tem regularniejsza, im bardziej miarowo odbywa się wachlowanie skrzydeł, a przechodząca u niektórych gatunków w znaczne krzywizny skutkiem nieregularnie powtarzających się uderzeń skrzydeł, jak to widzimy n. p. w locie dzięcioła, sroki, kwiczoła, lub nawet w zboczeniach od płaszczyzny poziomej u kszyka, cietrzewia, bażanta i w. i.

Linia falista lotu jest koniecznym wypływem działania dwóch różnych sił; jedną jest pionowo działający ciężar ciała, drugą zaś wznosząca i przy śrubowym kształcie skrzydeł do ruchu postępowego zmuszająca siła muskularna. Obie te siły działają wzajemnie i uzupełniają się, tak, iż bez pewnej ciężkości ciała byłby lot wcale niemożebny, a szybki lot większej części ptaków łowieckich o krótkich skrzydłach i silnym ruchu tychże, warunkuje właśnie ciążar ciała i nagromadzenie znacznej siły żywej. Ptak o ciele lekkiem nie mógłby osiągnąć w locie nigdy tej szybkości, z jaką przeszywa powietrze ciężka kaczka, cietrzew i t. p. a wielkie skrzydła przy lekkiem ciele wywołują ruch bardzo umiarkowany, jak o tem codzienne doświadczenie nas poucza. Rozliczne gatunki rybitw, mew, czapel, bąków i innych ptaków szczupłego i lekkiego ciałotworu są znakomitemi tego przykładami. Latawce to niezaprzeczenie wytrwałe, niektóre z nich po całych dniach mogą się utrzymać w powietrzu, jednak lot ich jest pod względem chyżości zawsze umiarkowany, pominąwszy wyjątkowe niektórych gatunków ewolucye. Lot bąków i czapel robi wprost wrażenie bardzo ciężkiej pracy, jakiejś uporczywej walki ptaka z tym samym żywiołem, który jest niezbędnym warunkiem lekkości ruchu.

Anatomiczna różnica w budowie skrzydła wytwarza i w rzędzie tych długoskrzydłych ptaków o lekkim ciałotworze pewne wyjątki. Spotykamy i gatunki o wielkiej chyżości lotu, z naszych należą tu jaskółki, z egzotycznych kolibry. Własność ta polega na wielkiem wydłużeniu skrzydła, przy niezwykłej krótkości kości ramieniowej u jaskółki, a przedramieniowej u kolibra. Przy takiej budowie, a równoczesnem wydłużeniu lotek pierwszorzędnych, skrzydło staje się nadzwyczaj wązki a długie, i osiąga mechaniczne korzyści, na które będę jeszcze miał sposobność zwrócić uwagę w ciągu tej pracy.

Gdy skrzydło uderza ku dołowi, ciało wznosi się, w chwili zaś, gdy znajduje się ono w największem ku dołowi pochyleniu, ustaje siła unosząca, a ciało opada prawem ciążenia. Podczas tego opadania samo parcie powietrze podnosi skrzydło, tak, iż znów nastąpić może powtórne z góry na dół uderzenie skrzydła, bez ściągania, bez kurczenia tegoż, a zatem bez żadnego muskularnego wysiłku.

Podczas opadania ciała, skrzydła nie przestają działać, a działaczem tym jest ich śrubowata powierzchnia, która spełnia w tej chwili nietylko rolę spadochronu, ale zarazem przyjmując opór powietrza, przysparza ruchu postępowego, jeżeli ptak ruchliwy ten organ skieruje tylną krawędzią ku górze, przezco skrzydło działa jako płaszczyzna pochyła na warstwy powietrza. Jeżeli siła wznosząca skrzydła nie jest większą niż opory powietrza i ciężar ciała, ptak pozostaje w locie na jednym poziomie, posuwając się w ruchu postępowym, w którym, dzięki swym korzystnym kształtom, słabe tylko spotyka opory. Podniósłszy przednią krawędź skrzydła, zwalnia wprawdzie przy tem samem wachlowaniu ruch postępowy, ale zato wnosi się w górę, a może tę ewolucyę spotęgować aż do cofnięcia się w ruchu postępowym, przyczem tem raźniej w górę się wznosi, lub wykonuje zwroty raptowne jakie spostrzegamy częstokroć u ptactwa lżejszego ciałotworu. Przeciwnie u ptaków ciężkiego ciała, w obec nagromadzenia wielkiej siły żywej, raptowne zwroty byłyby niepodobne, to też nie spotykamy ich w praktyce łowieckiej. Ptaki te, przerzynające szybko silnym ruchem skrzydeł powietrze, tak, że w locie rodzaj szelestu lub świstu słyszeć się daje, ani raptownych zwrotów dokonać nie są w stanie, ani nie mogą od razu zahamować się w locie. Patrząc bodaj na zapadające dzikie kaczki, możemy powziąć o tem niejakie wyobrażenie. Ptak o ile może całym organizmem pracuje, aby zapaść lekko na wodę, głowa i cały tułów prostują się do góry i naprzód, wiosła rozpościerają się, skrzydła uderzają krótko a silnie ku dołowi i naprzód, a mimo to ptak uderza z wielką forsą ciałem o wodę; słychać daleko plusk, i na kilkometrowej linii porusza się jeszcze ptak na wodzie, popychany nabraną w locie siłą żywą.

Wielkość tej siły przy znanym ciężarze ciała i chyżości lotu, dałaby się jak najdokładniej obliczyć, dosadnio jednak mówi o tem samo doświadczenie i zastępuje cyfry. Według podania A. D. Barletta, kaczka dzika zabiła się w jego oczach na półtrzeciacentymetrowej szybie latarni morskiej w Edystonie, a szyba rozprysnąć się miała w drobne kawałki.

Pozostawiam krytykę podobnych podań ścisłemu rachunkowi, w który tutaj wdawać się nie mogą, choć mówią one i w takim razie zbyt wiele, gdybyśmy o przesadzie ich byli przekonani. Niezliczone mógłbym tu naprowadzić przykłady, udowadniające ogromną stosunkowo siłę żywą, jaka się w locie ptaków ciężkich wytwarza. Wszak i maleńka ptaszyna, dostawszy się przypadkiem do mieszkania, uderza w locie z taką siłą o szyby, że często złudzenie wzroku życiem przypłaca.

Statua wolności, wzniesiona w 1886 w Ameryce w Bedloe Island, witająca swem światłem elektrycznem już zdala

przybywające ze starego świata okręty, stała się tępicielką skrzydlatych wędrowców. Podczas wędrówek ptactwa pokrytą bywa cała jej platforma trupami skrzydlatej drużyny rozmaitych gatunków; przeważnie dzikie kaczki, dążąc do światła, rozbijają łby na szybach pochodni wolności.

Zdawaćby się mogło, że ciężkie ptactwo łowieckie, posiadające krótkie skrzydła, upośledzone jest pod względem lotu, zwłaszcza, że powierzchnia unosząca skrzydeł zmniejsza się w stosunku do rozmiaru i wagi ciała. Tak jednak nie jest, i raczej powiedzieć by można o ptactwie lekkiem i długoskrzydłem, że posiada skrzydła aż nadto rozwinięte. Sądy takie byłyby wszakże nierozumną krytyką, bo przypatrując się bliżej obu tym skrajnym typom latawców, dostrzedz można obustronnie pewne zalety i pewne ujemne przymioty w ich organizacyi. Ptaki krótkoskrzydłe a nie należy tego brać za to samo, co małoskrzydłe, gdyż częstokroć skrzydła krótkie posiadać mogą taką samą a nawet większą powierzchnię unoszącą — w skutek większej szerokości skrzydeł znajdują się pod pewnym względem w korzystniejszych warunkach, niż ptaki długoskrzydłe o skrzydle wąskiem choć wydłużonem. Biorąc w porównanie dwa odrębne typy skrzydeł o jednym rozmiarze powierzchni, pociągnę tu krótką między niemi paralelę.

W skutek tego, że przy skrzydle długiem środek oporu, jakie skrzydło w powietrzu spotyka, znajduje się dalej od środka ciężkości ciała, gdzie się i środek siły znachodzi, osiąga ptak długoskrzydły zwiększony efekt lotu większem wysileniem; z drugiej znów strony, wydłużone a wązkie skrzydło korzysta z innych stosunków fizycznych, ptak długoskrzydły wachlując zatacza daleko większe łuki końcem skrzydła, to też na dłuższej linii opiera się powietrzu, a długa przednia krawędź trafia w locie postępowym na spokojne warstwy powietrza. Korzyści tej nie posiada krótkie a szerokie skrzydło, na krótkiej tylko linii krawędzi przedniej znajduje ono opór nieruszonych jeszcze warstw powietrza, podczas gdy reszta jego powierzchni pracuje w powietrzu poruszonem ku spodowi i mniejszy tam opór znachodzi. Środek oporów natomiast przy skrzydle krótkiem znajduje się bliżej motoru muskulatury, a to jest znów korzystną stroną pracy lotu u ptaków tego typu.

Podziwiamy szybki lot naszych ciężkich ptaków łowieckich, co warcząc i kipiąc w szalonym ruchu przeszywają powietrze, ale tylko lot ptaków długoskrzydłych, ten ruch panujący zupełnie nad zmiennym żywiołem, może wywołać okrzyk prawdziwego zachwytu. „Może to nie ptaki, ale żywioły, co się w skrzydła ubrały, i przerzynają swem białem skrzydłem powietrza fale, od wód powierzchni aż pod obłoki, a każdy kierunek wiatru jest dla nich pomyślny w tej swobodnej żegludze“ — woła Michelet patrząc na mewy, bujające ponad oceanem. „Widziałem — powiada Quatrefages o mewach w zatoce Biskajskiej — jak zwinąwszy się po kilkakroć w powietrzu, ginęły wśród fal i znów się wznosiły ze zdobyczą w dziobie. Szybkie jak błyskawica, gdy z wiatrem leciały, mało co siłę lotu zmniejszały, walcząc z prądem powietrznym, a jednak równocześnie rozwścieklone fale ze złowieszczym rykiem wdzierały się na skały wybrzeża, i okrywały je pianą, wznosząc się wyżej niż świątynia Notre Dame lub wierzchołek Montmartre, — lecz na to mewy uwagi nie zwracały“. Ptaki wszelkiego typu skrzydeł bezpieczne są wśród atmosfery; jeden siłą muskularną i wytworzonym przez nią ruchem ciężkiego ciała opanowuje kierunek, inny znów niby zręczny żeglarz ruchliwy swój żagiel ustawia w sposób najodpowiedniejszy do zamierzonego celu. Tam, gdzieby się zdruzgotał skomplikowany a martwy pomysł człowieka, tam przelatuje bezpiecznie ptak. Możemy być o niego zupełnie spokojni, bo nad całą mechaniką lotu czuwa ustawicznie centralna władza, czuwa umysłowe kierownictwo, unikając wszędzie z błyskawiczną chyżością nieprzyjaznych zamachów nieokrzesanego żywiołu, który już tyle pomysłów mechanicznych człowieka uczynił swą pastwą.

Ponieważ każde skrzydło uczepione jest w linii przedniej krawędzi, w stawie ruchomym, wiec opór powietrza wywiera przy wachlowaniu większe działanie na tylną krawędź. Skutkiem tego skrzydło w locie staje się jeszcze więcej wichrowatem a tylna płaszczyzna wznosi się do góry tem bardziej, im szybsze jest wachlowanie, im szersze zaś skrzydło, tem korzystniej kształtuje się płaszczyzna skrzydlata lotu postępowego. W porze wietrznej kombinowane ruchy w locie zmieniają się w miarę potrzeby i już gołem okiem dostrzedz można wielkie różnice w sposobie latania, zmieniają się wówczas kontury ptaka, płaszczyzna siągu przechyla się ukośnie w skutek nierównego wyprężenia skrzydeł, sylweta staje się niesymetryczną, a jednak to wszystko, o czem nas poucza wzrok i z dniem każdym doskonalsza fotografia błyskawiczna, jest dopiero małą cząstką tej kombinacyi ruchów, jakie ptak przy zmiennych warunkach powietrza wykonywać musi.

Ilość uderzeń skrzydłem w jednostce czasu, zależna od ciężaru ciała i unoszącej siły skrzydeł, a zatem od tychże powierzchni i kształtu, była długi czas zagadką. Widziano wprawdzie, że jedne ptaki poruszają szybko skrzydłami, inne wolniej, że niejednakowe łuki zakreślają końcami skrzydeł, ale na tem kończyła się cała wiedza. Ogólniki takie nie mogły dać pożądanego wyjaśnienia co do zależności wszystkich czynników lotu. Dopiero w ostatnich czasach, przy pomocy elektrotechnicznych przyrządów, i połączeniu sygnałów elektrycznych z ruchem latających ptaków, niemniej przy pomocy fotografii, udało się wniknąć w tę tajemniczą dziedzinę. Wynalazek, utrwalający czarowne zjawisko uderzającego piorunu, utrwalił również w jednej sekundzie metamorfozy postaci lecącego ptaka, i dał pewne wyobrażenie o ilości uderzeń skrzydła w jednostce czasu u rozmaitych ptaków. W obec szalonego postępu i wydoskonalenia techniki fotograficznej możemy mieć nadzieję, że niezadługo będzie możebnem ułożyć w pewien system ptaki według ilości uderzeń skrzydeł w jednostce czasu. Istnieją już obecnie sturazowe zdjęcia w sekundzie, jednak zdjęcia te, w których pojedyncze obrazy z łatwych do pojęcia przyczyn nakrywają się wzajemnie, nie mogą rzeczy tak dokładnie przedstawić, jak n. p. zdjęcia 10-razowe w odosobnieniu, co znów możliwem jest przy fotografii ptaków wolnego lotu. Fotograficzne te arcydzieła (wykonywane specyalnie przez Mareya i Anszütza w Lesznie) dają wyobrażenie o szybkości wachlowań. Pewne kontury lecącego ptaka powtarzają się w tych obrazkach ze symetryczną dokładnością, a to znaczy, że w czasie tym powtarzają się pewne ruchy tak, że gdy np. przy dziesięciu zdjęciach lecącej czapli, sylweta pierwszego zdjęcia przy zupełnie spuszczonych skrzydłach powtarza się w piątym i dziesiątym obrazku, to mamy w tem pośredni dowód, że ptak ten w sekundzie 2 uderzenia skrzydeł wykonał.

Wszystkie te bardzo cenne doświadczenia co do ilości uderzeń, odnosić się mogę tylko do lotu, w którym się ptak na jednym poziomie w atmosferze utrzymuje; przy lada zmianie w stanie atmosfery, przy równocześnie opadającej lub wznoszącej się linii lotu, ze zmianą czynników mechanicznych, zmieniają się i ruchy skrzydeł. Widzieć to można

najwyraźniej w kierunkowych ekstremach lotu. Zapadające n. p. przepiórki lub kuropatwy, zataczają nad samą ziemią koła przy nieruchomych prawie skrzydłach, podczas gdy wzbijający się w pionowym kierunku gołąb czyni forsowne i z łoskotem połączone ruchy, skrzydła jego zataczają całe koło i uderzają się wzajemnie, co właśnie ów łoskot wywołuje. Ten sam ptak spada jak wiele innych niby meteor na dół, i dopiero kilka stóp po nad ziemią rozprzestrzenia skrzydła, robi kilka gwałtownych ruchów — i usiada lekko.

Spadanie ptaków drapieżnych przy ściągniętych skrzydłach czyni je właśnie tak niebezpiecznemi. Ptak drapieżny, który tej sztuki nie umie, niezbyt strasznym jest wrogiem. Myszołów, spadający przy rozpostartych skrzydłach, jest najmniej niebezpiecznym, ociężały i niezgrabny to ptak; przeciwnie ciężki bielik wyrządza ogromne w zwierzostanach szkody, bo umie polować, jak kamień spada przy ściągniętych skrzydłach na ofiarę czy na ziemi, czy na wodzie i nie mija celu prawie nigdy. Jeżeli zaś kiedy się wydarzy, że bielik ofiarę pominie, wtedy podobnie jak jastrząb, krogulec lub sokół, nie traci przytomności, lecz w jednej chwili, której oko pochwycić nie jest w stanie, przemienia szalony ruch pionowy błyskawicznym zwrotem w inny kierunek i wznosi się lub ponawia już z lepszym skutkiem napad, łowiąc częstokroć zdobycz tuż po nad twardą jakąś powierzchnią, o którą uderzywszy musiałby paść trupem.

Ale próżne obawy! tak wykończony aparat lotu, jaki posiadają ptaki drapieżne, dozwala tym rabusiom bez najmniejszego niebezpieczeństwa niby igraszkę wykonać taniec wśród mieczów.

* * *

Towarzysząc lecącemu ptakowi od wzlotu aż do chwili, w której znów na stałej usiadł podstawie, ledwie w najgłówniejszych rysach zdołałem przedstawić machanikę tego ruchu, a już i tak zapisałem sporo papieru i zużyłem wiele czasu. Subtelny, lekki, z mnóstwa błyskawicznych kombinacyj składający się lot, dotknięty słowem, nie mógł w niem znaleść dostatecznego tłumacza. Nie mówić, ale latać by należało. w dziedzinach powietrznych trzeba by się obracać, chcąc zrozumieć mistrzów lotu.

To też daleki jestem od myśli, że omawiając tu główne momenta lotu, stać się mogłem tłumaczem tej przedziwnej dla nas praktyki Śpiewałem starą piosnkę, obracałem się wśród martwych prawideł mechaniki, spoglądałem na zewnętrzne cechy lotu, starałem się z tych danych wyciągnąć wnioski dalsze, ale czyż były to rzeczywiste dane, czy i tu oko nie ulegało złudzie? Czyż ptak swego mechanizmu lotu używa według przypisywanych mu przez nas, przywiązanych do ziemi prawideł? Czyż ta centralna władza, czuwająca nad każdym ruchem, nie stosuje w sposób dla nas niespodziewany martwe prawa mechaniki?

Kwaśne to dla nas winogrona, urosłe na gruncie bardzo niedokładnych naszych zmysłów, i w matni współdziałających czynników, nie sięgać po nie nam, myśliwym; wystarczy zapoznanie się z charakterystyką tego, co w locie ptaka oczy widzą a uszy słyszą, bo to niemniej ważne jak ślad i trop zwierza w knieci.

A rozprawa moja? To tylko skromne usiłowanie ułatwienia rzeczy tym, którzy wstępując od czasu do czasu, powabne Dyany państwo, nie mieli z rozmaitych powodów, ni czasu ni sposobności, aby zaglądnąć bodaj pobieżnie do cudownego kalejdoskopu łowieckiej przyrody.

Z pamiętników szaraka.

(Dokończenie).

Niewola demoralizuje. Doświadczyłem tego na samym sobie. Gdym się znalazł wśród lasu, nie wiedziałem co ze sobą robić. W niewoli stawiano mi miseczkę z mlekiem, dawano gotowe liście kapusty, chleb suchy do gryzienia — nie trzeba było żywności szukać i zdobywać. Odwykłem od pracy, od trudów i niewygód, i muszę się przyznać ze wstydem do nikczemnej tęsknoty za niewolą. Ale to tylko chwilę trwało. Wkrótce głód i potrzeba obrony dodały mi energii, a chociaż od dłuższych wycieczek bolały mnie skoki, odwykłe od ruchu — przezwyciężałem się i zacząłem żyć jak inny zające.

Jedynem mojem utrapieniem była teraz blaszka, przymocowana do słucha. Starałem się ją wszelkiemi sposobami usunąć, skrobałem się bezustannie przedniemi skokami po głowie, ale nadaremnie. Każde gwałtowniejsze szarpnięcie drucika zadawało mi ból niesłychany — przestałem wreszcie szarpać i starałem się o okropnej blaszce zapomnieć.

Ach, lecz przypomniały mi ją inne zające. Ledwiem się z którym spotkał i obwąchał, zaraz zwracał uwagę na blaszkę, odskakiwał i mierzył mnie podejrzliwym wzrokiem. Niektórym tylko koleżankom podobał się ten szczególny mój „nausznik", bo płeć słabą zawsze do błyskotek ciągnie — ale koledzy drwili sobie z blaszki, a nawet prześladowali mnie niemiłosiernie

— A to lokaj jakiś! — mówił jeden.

— Musiał on dobrze łapy ludziom lizać — mówił drugi — kiedy mu taki order przypięli.

— Lokajska dusza!

I wymyślali bez końca, tak, że nieraz traciłem cierpliwość, rzucałem się na nędzników i drapałem ich, odbierając nawzajem guzów co niemiara.

Dopóki te przycinki pochodziły od swoich, to jeszcze znosiłem je jako tako, ale zachciało się także i obcym ze mnie dworować. Były w naszej kniei dwa zające, które same o sobie mówiły, że są Niemcami z Turyngii. Bóg wie, gdzie to ten kraj zakazany! Sprowadził je ztamtąd właściciel kniei na rozmnożenie. Nieznośne to były kopyry — jakieś półzająca, pół-królika, kościste, ciężkie, garbonose, ot, pludry

niemieckie. Dlaczego właściciel kniei je sprowadził, sam zapewne nie wiedział; nas przecie było dosyć, mógł tylko pamiętać o tem, żeby na nas w czasie ochronnym nie polowano i nie chwytano na kluczki — mógł strzelać jastrzębie, wrony, lisy i inne tałałajstwo, które nam młode kradnie — mógł trzymać swe psy na uwięzi, żeby się latem po lesie nie włóczyły, a w zimie mógł nam troszkę koniczyny wywozić — to byłby się i swoich zajączków dochował.

Ale gdzie to z człowiekiem dojdzie do ładu! Wolał wyrzucić pieniądze na transport niemieckich kopyr i dał nam dwie lale, zawłoki, których nie mogliśmy znieść. Otóż jednemu z tej parki przyszła ochota także mi jakieś lokajstwo wypominać.

— A ty pludrze niemiecki! — zawołałem — to ty śmiesz mówić o lokajstwie? — I jakem się do niego zabrał, takem go stłukł na kwaśne jabłko.

Od tego czasu miałem już spokój z nieszczęsną blaszką i sam o niej potroszę zapomniałem.

A nie było swoją drogą i czasu myśleć o takich drobnostkach, bo nastała pora polowań, i trzeba się było dobrze wykręcać, żeby nie wpaść myśliwemu pod lufę.

Aj, aj! Mizerneż-to teraz te polowania! Wiem ja z zajęczej przeszłości — bo i my mamy nasze tradycye — że inaczej przedtem bywało! Mówiono myśliwemu:

„Idź, gdzie się legą rysie, pruciaj po gęstwinie,
I na dzikie nacieraj z brytanami świnie“ —

a nie na biedne szaraki nieboraki, co Bogu duszę winny. Myśliwy, bywało, nawet się na nas nie oglądał, ot, czasem dla fantazyi do szaraka strzelił, albo sobie na koniu z chartami za zającem pohasał. Czasem kuchcik, dorwawszy się pojedynki, chyłkiem do lasu na zająca chodził, i temu można było przed nosem zakołkować i marchewkę mu skrobać, bo pewnie spudłował. A jak się gromada myśliwych na grubszego zwierza wyprawiała, to z humorem śpiewali burleszki o zającu:

„Siedzi sobie zając pod miedzą, pod miedzą,
A myśliwi o nim nie wiedzą, nie wiedzą“...

I dalibóg, nie wiedzieli, i dobrze z tem było szarakom nieborakom.

A dzisiaj, Chryste Panie! Cóż to za zajęcza mordownia! Ten pluder z Niemiec to nam najokropniejsze rzeczy opowiadał, jako tam po parę tysięcy szaraczków tłuką na jednem polowaniu. I pewnie, że to być może, bo dawniej, nim wyciągnął nabój, a wsypał proch i przybił, a dał śrut i przyłożył i nasadził kabslę na kominek, to zajączek był już za dziesiątą górą. A teraz kładzie i kładzie naboje z tyłu i sypie śrutem bez opamiętania — i niedość mu jednej lufy a trzy razem na jeden patyk skuwa, żeby tylko jak najczęściej strzelić... A bodajże ich wszystkich na kopyry poprzemieniało, żeby się przekonali, jaka to gorąca łaźnia wywijać się zajączkowi na takiem polowaniu...

A co mnie już do ostatniej pasyi doprowadza, to te gbury, co idą na nagonkę. Jaki taki zajączek spi sobie spokojnie w kotlince, a tu gbur idzie, wali kosturem w każde drzewko i wrzeszczy kot... kot! Cóż dziwnego, że ten i ów nerwowy zajączek zrywa się jak szalony, pędzi przed nagonką i wywraca koziołka pod lufą myśliwego.

Pierwszy raz zdarzyło się i mnie tak samo. Wybiegłem jak szalony na linię, tylko szczęście, że stał tam jakiś wysoki financrat, co doskonale wymierza podatki, ale do zająca wymierzyć nie potrafi. Ten poobtłukał śrutem gałązki na grabie, a mnie nic się nie dostało.

Od tego czasu poszedłem po rozum do głowy. Skorom tylko usłyszał z daleka wrzaski „kot... kot!“, wyciągałem się jak struna między drobnemi krzaczkami i przytulałem się do ziemi, zwróciwszy bałuchy w stronę, z której wrzask dochodził. Wrzeszczący gbur, nadszedłszy, zazwyczaj mnie nie widział i szedł dalej, a gdy mnie zobaczył i głośniej wrzasnął, to ja mu hyc! w oczy i dalej za nagonkę. Robił się wtedy tumult, parę kosturów rzucono za mną, a ja im tylko kosmyk pokazał, i już mnie nie było.

Nieraz rozbierała mnie melancholia, to wtedy skarzyłem się na losy i śpiewałem na staroświecką nutę:

Cóż ja tym myśliwym zawinił,
Czy jakową szkodę uczynił?
Choć w kapuście czasem siadam,
Po listeczku tylko zjadam —
Nie jak wół — nie jak wół!

„Grochu nie wytłoczę, ni prosa,
A w jęczmień nie pójdę, bo rosa,
I kusy uciekać muszę,
Ocalając swoją duszę —
Bo mi żal — bo mi żal...“

Ale z wiekiem minęła melancholia, a wzmogła się chytrość i największą rozkosz sprawia mi, gdy człowieka w pole wywiodę.

Naprzykład w śnieżnej zimie, szczególniej gdy trochę miecie, śmieję się nieraz do rozpuku. Przez noc nachodzimy się po całym lesie, nagryziemy co się da młodych pędów po zapustach i zakluczymy tyle, że człowiekowi się zdaje, iż cały batalion zajęcy jest w kniei. Spędza też huczków, i leci ich setka na pięć szaraków, co w kniei pozostały, tłuką się cały dzień i nic nie mają. A ja tymczasem co? Nad ranem wgrzebałem się w śnieg na polu, poczciwy wiaterek zawiał mnie do reszty, wyhuchałem dziurkę jak talarek i siedzę sobie cieplutko śmiejąc się z nagonki i myśliwych.

Ale do czasu dzban wodę nosi i wszystkie te fortele do czasu się tylko udają. Zajadłość człowieka wzrasta z każdym dniem, co chwila któryś z nas ubywa i nie wiem, co to dalej będzie. Bodaj, czy już i teraz nie więcej jest strzelb niż zajęcy na świecie? Bo to każdy się pcha i wali i są okolice, gdzie nie znajdzie szaraka nawet na rozpłodek!

A my się z rozpłodkiem nie lenimy...

Ej, ej! Gdy przyjdą księżycowe noce parkoci tak pod koniec lutego... Człowiek powiesił już strzelbę na kołku i szaraczkowi bezpieczniej hulać po polach i zapustach, a odczuwa lepiej od człowieka, że słonko rośnie i dzień rośnie, i że tam w głębi ziemi zaczyna coś szeptać, a budzić się i zapowiadać nowe życie.

Tożto my się wtedy zbiegamy na godowe tany! Dalipan, że weselsze one, niż „ranty“ i „fajfy“ u człowieka. Śnieg potem zdeptany jak na klepisku, a tu i uwdzie trochę turzycy, którą sierdzisty zajączek z zapału lub rozkoszy wyskubał. Jakiś poeta myślał, że to czarownice wyprawiają tany do księżyca... Gdzie tam! to my, zajączki hulamy i gonimy się tak zawzięcie, dbając o utrzymanie rodzaju i robimy tem grzeczność człowiekowi, bo inaczej nie miałby co strzelać.

I rzecz szczególna, w tych nocach księżycowych, poetycznych i rozkosznych, choć nieraz mróz naciska, wracam marzeniami do lat moich najmłodszych i myślę: co też tam robi Basia i pan Józef? Czy świeci im kiedy księżyc tak rozkosznie?

Choćbym się miał narazić na zarzut, że jestem zającem-filozofem, zrobię tu kilka uwag, aby przypiąć łatkę człowiekowi.

Zostawiam ludziom ich wysokie mniemanie o sobie, ową chełpliwą, nie znoszącą żadnych porównań wyższość nad zwierzętami — a przecież nie zdołają mi zaprzeczyć, że mają równe z nami potrzeby utrzymania życia, równe niestety pociągi i słabości. I oto na tym punkcie chyba my jesteśmy górą a nie człowiek. On ukrywa, czego pragnie, wojuje fałszem, albo się rozbestwia gorzej zająca i psuje samą naturę — my zaś idziemy szczerze za naszemi popędami, nie szukamy sztucznych podnieceń, lecz nie kłamiemy także uczuć, których w nas nie ma.

Mam tu na myśli wspólny nasz pociąg do płci słabej. Ileż tu bywa między ludźmi udawadnia, chytrości i wyrachowania, nie mającego nic wspólnego z uczuciem! Najczęściej nie miłość, nie posiadanie ukochanej, jest głównym celem bohatera, udającego rozmarzenie, lecz jakiś „posag“, „pieniądz“, przedmiot, którego wprost my pojąć nie umiemy, i który nam w naszych poczciwych zajęczych konkurach wcale nie jest potrzebnym.

O, nieboraku człowiecze! Jakże ty śmiesznie wówczas w oczach moich wyglądasz! Ileż my mamy politowania i pogardy dla twoich kłamstw i szalbierstw!

Ach, gdybym chciał z przechadzek moich po polu i lesie kreślić wszystkie podpatrzone sceny flirtu człowieczego, spisałbym historyę nędzy moralnej człowieka ku zbudowaniu całego rodu zajęczego. Przekonałaby się wówczas potomność, że ludzkość upadek swój sama tem sprowadza, iż od natury coraz bardziej odbiega i zgubnemi konwenansami ją truje...

Takiemi uwagami pocieszałem się nieraz, gdym opuszczał plac godowy, pokąsany i poszarpany w pojedynkach o bogdankę. Bo u nas nie łatwo zdobywa się względy płci słabej; rywale walczą wściekle i wybór trzeba skórą przypłacić. Ale też najsilniejszy korzysta ze zwycięstwa, i dlatego pokolenia nasze trzymają się jeszcze jako tako.

Widzę tylko z żalem, że im bardziej się starzeję, tem trudniej mi zwyciężać, nie raz wypada uchodzić z placu nie zyskawszy wzajemności, i czasem dalipan! czuję ochotę lecieć sam pod lufę myśliwego, bo nie wiem, po co mi już żyć na świecie.

Będąc raz w takiem rozpaczliwem usposobieniu, przeżuwałem długo najpierwsze lata młodości, przypominałem sobie każdą chwilę boleści i rozkoszy i nagle przyszła mi ochota, odwiedzić ten dwór wiejski, gdzie mieszkała Basia i przekonać się, co też ona robi.

Były to pierwsze dni lata. Zakradłszy się nocą do ogrodu, gdzie Bogiem a prawdą nie było się jeszcze czem pożywić, przycupnąłem w gęstym szpalerze pożyczek tuż przy ścieżce i spoglądam na dwór. Dzień był prześliczny, słońce wstało jasne, wesołe, jakby w morzach wykąpane i oświeciło ziemię operloną bujnemi kroplami rosy. Na folwarku wszczął się ruch, ekonom wrzeszczał Bóg wie czego, że aż mnie ciarki przechodziły, wypędzano krowy na pastwisko, fornale z pługami wyjeżdżali w pole — zawrzał ruch i hałas gospodarski, który każdego przyzwoitego zajączka byłby już dawno wypłoszył, ale ja, jako stary żołnierz, wytrzymałem na stanowisku.

Wkrótce otworzyły się drzwi, wiodące do dworu i ukazał się w nich siwy pan domu, jeszcze siwszy i bardziej pochylony, niż wtedy, gdym go pierwszy raz widział, ale zawsze z tą samą straszną fajką, rozsiewającą okropne odory. Za nim wysunął się i czarny Hektor.. Aj, łydki mi zadrżały i mimo całej odwagi chciałem już dać drapaka. Ale ochłonąłem, gdym ujrzał, że Hektor także leniwej niż ongi nogi za sobą wlecze i nie ma już w oczach tego ognia co dawniej. Pan popatrzył trochę po niebie i po ziemi, poprawił na głowie czerwoną czapkę z kutasem, i siadł w fotelu do słońca. W ślad za nim położył się Hektor, ziewnął i zawarował. „Oj, zestarzali się“ pomyślałem w duchu, i czułem się bezpieczniejszym.

Wtem ze śmiechem wybiegła na ganek, a z ganku do ogrodu, młoda kobieta, rosła, gibka, rumiana. Z wesołemi okrzykami wypadło za nią troje dzieci. Jedno, najmniejsze, zatrzymało się przy dziadku, i siadło mu na kolanach, bo nie ufało sobie, czy zdoła zbiegnąć ze schodów. Innych dwoje biegły po żwirowej ścieżce i chwytały się jasnej sukienki matczynej.

Rozpoczęło się buszowanie po grzędach kwiatowych, bezustanne śmiechy i rozmowy. Dzieci pomagały matce w zrywaniu kwiatów i rósł bukiet wspaniały. podczas gdy dziadek prawił coś najmniejszemu bobu.

Niebawem skrzypła furtka od gospodarskiego podwórza i ukazał się mężczyzna w wysokich butach, w łosiowych rękawicach i ze szpicrutą w ręku. Widocznie dopiero co zeskoczył z konia i wracał z gospodarskiego objazdu.

Matka i dzieci podbiegły ku niemu z radośnym okrzykiem „Dzień dobry!“ i całusy posypały się na przemiany. A gdy młoda kobieta przypadła do piersi mężczyzny i zawisła u jego ust — uczułem w sobie jakieś odmładniające prądy i pomyślałem, ogarniając wzrokiem gronko dziatek i tych dwoje: „Aj, to się spieszą! Jakby zające“...

I z prawdziwą rozkoszą przypatrywałem się tej sielance, temu szczęściu domowemu. I dopiero wtedy rozpoznałem w młodych ludziach Basię i p. Józefa.

Jakże ona wypiękniała i rozrosła się, jakże on zmężniał i jak mu pięknie z tą cerą opaloną! Widać, że w ruchu, w pracy i we wzajemnej miłości niczego im do szczęścia nie potrzeba.

Na podwórzu rozlegał się tymczasem donośny głos klucznicy:

— Kaśka! A pamiętaj o rozsadzie! Pewnikiem będzie deszcz pod wieczór, to się obejdzie bez podlewania.

Zdziwiłem się, skąd ta baba wie o deszczu, który i ja przeczuwałem, a ujrzawszy dwie dziewki, zdążające ku długim grzędom warzywnym i widząc się ludźmi otoczonym, wycofałem się ostrożnie popod płoty na pole.

— No, no! — mówiłem do siebie, kicając przez oraninę ku krzakom — przecież i między ludźmi trafiają się szczere dusze i szczęśliwe chwile. Muszę ja tam do nich częściej zaglądać. Wszakżem ich dworak, mam gdzieś na słuchu zarośniętą ich blaszkę. A Kaśka dobrze sadzi kapustę, to będzie się czem i pożywić.

* * *

Było to w październiku 1887. Kapusta obrodziła nadzwyczajnie. Głowy były jak przetaki, a listki takie białe i kruche, że aż rozkosz brała obierać je i krajać do kiszenia. Wzięto się do rąbania kapusty, a ludzie mówili, że głodu nie będzie, skoro kartofli piętnaście pod krzakiem a kapusta jak przetaki.

Rąbała kapustę i Kaśka wraz z innemi, gdy wtem zerwała się i przybiegła do pani.

— Proszę pani, proszę pani! Zając w kapuście...

— Meżusiu, mężusiu! Zając w kapuście! — zawołała pani przez drzwi do drugiego pokoju.

— Michał! Dawaj strzelbę! Zając w kapuście! — odezwał się głos męski, i wnet p. Józef z Hektorem u nogi pojawił się między grzędami kapusty.

— A jakże! Będzie na was czekał! — mruknął stary ojciec Basi, siedzący na ganeczku do słońca i palący fajkę na długim cybuchu.

Ale zając czekał. Pokicał parę kroków i znowu stawał słupka między zagonami. Czy samobójca, czy co? Pan Józef się zbliża, a on znowu skacze parę kroków i znowu siada.

Rozległ się strzał, rozwiał się dym, i zając legł rozciągnięty między główkami kapusty.

Stanął przy nim Hektor i obwąchuje, podniósł go za słuchy p. Józef i wracając do dworu zdaleka już woła i daje znaki zdziwienia.

— Cóż się takiego stało?

- Zając ma blaszkę przy słuchu!

— To ta sama blaszka, którąśmy mu przed dziewięciu laty przyczepili — mówi stary, biorąc blaszkę w trzęsące sie palce.

— Prawda, ten sam napis: „Basia r. 1878“.

Wszyscy wylegli na ganek i otaczają stół na około.

— Biedny zajączek — mówi Basia, głaszcząc szaraka, a podniósłszy bystre oczy na męża, dodaje: — To ten sam, czy pamiętasz?

— Pod lipami, pamiętasz — odpowiada mąż i źrenice ich stapiają się w jeden wyraz miłości i błogiego uśmiechu.

— A to stary kopyra! — czyni uwagę ojciec. — Chyba takiego jeszcze nie było.

— Do niczego na pieczyste — dodaje stary Tomasz — tyle, że go się zmiele na pasztet.

I stary kopyra powędrował do kuchni na pasztet.

Tylko panna służąca, która ukradkiem blanszu używała, wyprosiła od kucharza przednią łapkę zajęczą, jako dobrą na piękność. Ale kopyra był stary i łapka głaszcząc podrapała czasem buzię za fałszowanie wdzięków. *St.*

Jamnik, jego tresura i pożyteczność.

(Dokończenie).

Stanąwszy na Treptowie, rozkomenderował p. Wawrzyniec całą drużyną, a mnie znając z kunsztu chodzenia, pchnął naprzód, za Bóg wie którą debrę i górę. Dawno już wszyscy zostali po drodze, przebyłem już mnogo deber i sam nie wiem, czy zostać, czy iść dalej. A nuż tam dalej psy przejdą? Znowu tedy biorę debrę za debrą, aż nareszcie natrafiłem na śniegu świeży, z pewnością tej nocy wyciśnięty trop dzika. Stanąłem przy tropie, nie idę dalej, a dobywszy z torby dwie półkule wykręciłem śrut z lewej lufy, nabiłem dwoma półkulami i czekam.

Zazwyczaj strzelano podówczas półkulami do grubszej zwierzyny, a ładowano w ten sposób, że obydwie półkule nacinało się przed włożeniem do lufy nożem, a następnie przyłożywszy nacięciami do siebie skręcało się. Otóż ołów świeżo nacięty tak silnie ima się z sobą, iż skręcone w ten sposób kawałki z trudnością rozerwać się dadzą. Tak tedy skręcone półkule, które o wiele więcej ważyły od kuli, owijało się w kłak i wkładało do lufy. I faktycznie dobrze uderzały, a przytem unikało się fatalnego zagwożdżenia rusznicy, co zdarzało się nieraz, gdy lufa, zwłaszcza nie dość dobrze wyczyszczona, kulą była nabita.

Zaopatrzywszy tak moją rusznicę, stanąłem pod grubym świerkiem na stanowisku, które mi się bardzo obiecującem wydawało.

Długo, długo stałem, nim wreszcie dosłyszałem raźne jamników granie. Zaledwie uszu moich dochodziło, i znowu gon ustawał, a po chwili znów wyłaniało się z za góry jakby z pod ziemi coraz donioślejsze i coraz bliższe psów granie.

— Będę strzelał — pomyślałem, nabierając co raz większej pewności.

Przedemną, o jakie kilkadziesiąt kroków, była halawa, zarosła gęsto młodzieżą drzew szpilkowych. Psy dotarły do owej gąszczy, ucięły i znów zaczęły, ale już nie gonić, tylko naszczekiwać w miejscu.

— Dzik — pomyślałem, cisnąc rusznicę, i wpatrywałem się w gąszcz, a przyspieszone uderzenia serca tamują mi oddech.

Jamniki naszczekują w miejscu, widocznie dzik osadził się w gąszczy. Czekam kilkanaście minut i poczynam tracić nadzieję. Podchodzić ku gąszczy, na nic się nie przyda, gąszcz nieprzebyta, absolutnie dzika nie dopatrzę, mogę go tylko spłoszyć i weźmie inny kierunek, postanowiłem tedy postać w miejcu. I znowu upływały ciężkie minuty niepewności, gdy wtem widzę wysuwającego się z gąszczy dzika, w prostym ku mnie kierunku. Przystanął chwilkę wsłuchując się w granie psów. Psy naszczekiwały ciągle w gąszczy, znać trzymały się w przyzwoitej od dzika odległości, a ten niespotrzeżenie wysunął się im z gąszczy. Podniosłem rusznicę do twarzy, tamuję oddech w sobie, ale kołatania serca powstrzymać nie mogę, wali jak obuchem. Już dzik o jakich 20 kroków na „kulawy sztych“ odemnie, chcę strzelić, a tu ręce odmówiły mi posłuszeństwa i cyngla ani rusz znaleść ani ściągnąć nie mogę. Dzik zrównał się już ze mną, a tu na nieszczęście ani rusz strzelić! Ba, dzik już mnie mija, więc zbieram wszystkie siły i ciągnę. Widocznie natrafiłem na cyngiel, bo rusznica wypaliła, ale dzik pomknął i kryjąc się w gąszcz znikł mi z oczu. Zwróciłem głowę i widzę, obydwie moje półkule zaorały grubego świerka. Przystępuję bliżej, rzeczywiście obydwie półkule może na dwa cale jedna obok drugiej otarły o świerka, wyrwawszy sporo kory i drzewa. Wtem ukazała się i czwórka jamników. Goniąc za tropem wyprzedziła mnie obok świerka, a nie zwracając na mnie uwagi i nie zatrzymując się, pogoniła hałasując za tropem. Byłem jeszcze tak wzruszony, że zimny pot wystąpił mi na czoło i nie mogłem ruszyć z miejsca. Wtem psy ucięły.

Nadsłuchuję chwilkę, coby to być mogło, i wreszcie pogoniłem tropem, przeprułem sobą gąszcz i gonię dalej. Z daleka już widzę, że jamniki naciągają leżącego dzika, dobiegam do nich, dzik w istocie leży. Cóż się stało? Oto pokazuje się, że kule przeszyły dzika na wylot i dopiero potem otarły się o świerka. Strzeliłem do dzika na liczonych 20 kroków, więc półkule miały dość siły zawadzić jeszcze o świerka.

Był to mój pierwszy dzik.

Otrąbiłem na trupa i w krótkim czasie zeszła się cała drużyna myśliwych.

— Ho! mamy nowicyusza! to pierwszy dzik — zabrał głos p. Wawrzyniec.

— Pierwszy, pierwszy! — powtórzono w okół.

— Trzeba go pasować — dodał pan Wawrzyniec i umoczywszy palce w farbie dzika otarł je na mej twarzy.

Za przykładem p. Wawrzyńca poszła cała drużyna myśliwych, smarując całą twarz moją.

— A teraz nie traćmy czasu, zastąpimy miot drugi! — zawołał p. Wawrzyniec i zakomenderowawszy w prawo i w lewo, wysłał mnie znowu poza debry i góry na najdalsze stanowisko. Dałem nogom znać, i pogoniłem uboczami i debrami jak ptak, zostawiając wszystkich Bóg wie gdzie poza sobą.

Nie wiedząc, gdzie ma być to przeznaczone dla mnie stanowisko, starałem się tylko ile możności być daleko od wszystkich. Uszedłszy spory kawał, wyszedłem na małą polankę, czystą, nie zarośniętą. Uczułem zmęczenie, siadam tedy na wywrocie, a sparłszy rusznicę o świerka, garnę śnieg do garści i obmywam twarz z nieznośnie zaschłej dziczej farby. Zrobiwszy w ten sposób toaletę, otarłem twarz chustką, zapaliłem cygaro i marzę o moim pierwszym dziku.

Nie wiem jak długo siedziałem, lecz zapewne sporą chwilę, bo czułem się zupełnie wypoczętym. Wtem o paręset kroków odemnie odezwał się raźno jeden jamnik, a za chwilkę zawtórował mu drugi. Stałem już przygotowany z rusznicą w ręku. Gon zbliża się ku mnie, jeszcze chwilkę, a zobaczę co gonią, pomyślałem. Wtem raźny gon zmienia się w naszczekiwanie.

— Oho! dzik! — pomyślałem, przypominając sobie w tej chwili, że w rusznicy mojej tylko jedna lufa nabita i to śrutem. Psy naszczekiwały wciąż w jednem miejscu, sięgnąłem tedy po ładunek, trzęsącą ręką wsypałem nabój prochu, przybiłem kłakiem i dałem na to dwie półkule.

— Chodź teraz aspan! — rzekłem w duszy — nie ujdziesz!

Jamniki naszczekiwały wciąż w jednem miejscu. Za długo mi tego było, zacząłem tedy podsuwać się pod psy, i doszedłem na taką odległość, że dobrze je widziałem. Cóż u licha? Jeden pies biega wciąż okrążając nie wielki łuk, a drugi siedzi na ogonie i szczeka. Dzika nie widać. Podsuwam się bliżej, doszedłem już o jakie 50 kroków do psów, wychylam się z poza drzewa — ta sama heca! Dzika nie widać. Zmieniłem tedy kierunek i podchodzę tak, ażeby z przeciwnej strony zlustrować grubą jodłę, około której psy kręcą się i naszczekują. Zlustrowałem już wszystko w okół — nic nie widać. Powaryowały psy, a może zbłąkały się i szczekają; przychodzi mi na myśl, że może lis do dziupła się schronił i dostać się do niego nie mogą. Idę więc wprost do psów, które, ujrzawszy mnie, raźniej poczęły głosić i obchodzić jodłę. Tymczasem w jodle nietylko dziupła, ale nawet żadnej dziurki dopatrzyć nie mogą. Za przykładem psów podnoszę tedy głowę do góry i wysoko na rososze jodły widzę sowę.

— A to głupie psy! — pomyślałem. Odchodzę jednak od jodły by lepiej się przypatrzyć i poznaję, że to nie sowa, ale inne i to dość spore zwierzę; przywarowało między suchemi rosochami tak, że tylko mu łeb widać. Przyłożyłem rusznicę do oka, ale zastanowiwszy się, że mogę chybić a w drugiej lufie mam półkule, wykręciłem je i wsypałem drugi ładunek śrutu. Zmierzyłem, strzeliłem, z zimną krwią dojrzałego myśliwca, i jeszcze echo strzału góra górze podawała, gdy już ślicznym okazem żbika bawiły się pieski na ziemi. Był to mój pierwszy a dotychczas i ostatni żbik, samiec stary pięknych rozmiarów.

Z trudnością odebrawszy psom żbika, zarzuciłem go na ramię, gdyż psy nie dały mi go niżej trzymać i puściłem się z powrotem, by odszukać myśliwych, którzy na mą trąbkę nie odpowiadali. Idę, biorąc parów za parowem, górę za górą, i znowu trąbię. Po chwili dopiero doleciał mnie odległy głos trąbki w odpowiedź na moją, ale w całkiem przeciwnej stronie.

Zmieniłem tedy kierunek i zdążam szybko, by dotrzeć do reszty myśliwych, którzy, nie wiem, czy odemnie się oddalili, czy ja od nich, ale ciągle byli daleko. Otrąbiając się od czasu do czasu, wyciągam nogi i spieszę, a jamniki pogoniły za jakąś zwierzyną. Nie myślę już o psach i polowaniu, gdyż pot kroplisty spływa mi po czole, i dobywam ostatki sił, aby wybrnąć z zaklętych parowów knieci. Wreszcie po dobrym marszu dotarłem do towarzyszy, którzy także po debrach się rozsypali, trzymając się jedni psów gończych, a drudzy jamników.

Było już dobrze z południa, a czekała nas jeszcze ciężka praca, aby wyciągnąć dzika w miejsce, gdzieby mógł furą podjechać. Niezupełnie nam się to udało, ciągnęliśmy go spory kawał, a w końcu przywiązaliśmy go koniowi do orczyka i tak dowlókł go aż do budy, skąd późno w noc wróciliśmy do domu.

Prócz moich trofeów nie wiele ubito dnia tego. Pan Wawrzyniec nie miał spotkania i do strzału nie przyszedł.

— Jak nie idzie to nie idzie — powtarzał jadąc do domu. — Nie pamiętam, ażebym polując w Treptowie nie przyszedł do strzału. Oho! to matecznik! Szeroko i daleko nie ma podobnej knieci, ale nam nie szło i psiska źle goniły. Gdzieś to bestyjstwo porozrywało się, jakby jakie kundysy zbierane ze świata... Ot, jak nie idzie, to nie idzie!

I wpadłszy w ferwor gawędziarski, jął p. Wawrzyniec przytaczać, jakto nieraz bywa, że rób co chcesz, a nie idzie, i dowodził, że jak baba drogę przejdzie to się nie wiedzie, a jak kto źle zatarguje to sprzedać nie można — i powoływał się na swą żonę, że choć zawołana gospodyni, przecież raz cały rok tucznego wieprza sprzedać nie mogła, bo go Czech Dobiral źle zatargował.

— Ot, jak nie idzie, to nie idzie!

Aby jednak dalej poszło z mojemi gryzmołami o jamnikach, porzucam wspomnienia młodzieńcze i wracam do piesków.

* * *

Trudno orzec, która z ras jamników najlepiej się nadaje do polowania. Jestem tego przekonania, że każdy jamnik będzie dobrym, jeżeli go nie zaniedbamy. Do gonu niezaprzeczenie nadaje się rasa większa, a do jam jak najmniejsza. Dziwna rzecz, że jamniki większej rasy nigdy nie są tak cięte, jak małe, a nawet bardzo małe; z doświadczenia twierdzę, że jamnik im mniejszy tem lepszy, więcej cięty i na cięcia wytrzymały.

Zapomniałem w którym to z roczników „Łowca“ czytałem korespondencyę o jamnikach. Szanowny korespondent utrzymuje, że „jamnik używany do jam nie powinien być małym, powtóre nie zbyt ciętym,“ a więc co najmniej ma być średniej wielkości, i żeby raźno nie nacierał w jamie na lisa. Ma to być zatem taki jamnik, jakiego ja nazywam „bajtałą“. Nie przeczę, że i przed takim jamnikiem uda się jakiego lisa zabić, lecz iść z takiemi jamnikami na polowanie z tą nadzieją, że może lisa uda się z jamy wyprosić, nie zazdroszczę nikomu. Wbrew zatem owemu twierdzeniu śmiem utrzymywać, że tylko mały i cięty jamnik do jam jest dobrym, bo taki przyprze lisa w każdym zakamarku jamy, nie dostępnym dla jamnika większego. Od samego naszczekiwania mało który lis z jamy uciekać raczy, a skoro jamnik dobierze mu się do skóry, uciekać musi.

Miałem ja jamniki i większe — były dobre do gonu, ale lisa z jamy jednego na dwudziestu wyparowały; godzinami na jamach wyczekiwałem — i bez rezultatu. Ileż to jest jam tak wązko zbudowanych, że podziwiać potrzeba jak się w nie lis włazi, a każda jama najstarsza i u wychodu rozszerzona, miewa wewnątrz chodniki bardzo wązkie, w które lis wejść zdoła i daleko się w nie zapuszcza, zwłaszcza, gdy usłyszy nieproszonych gości, którzy w jamie hałasują. I takiego chodnika nie głupi lis opuszczać dla samego naszczekiwania.

Często bywają jamy odwieczne, w których mieści się familia borsuków, a nawet dwie, a prócz nich zostaje jeszcze dość miejsca na rozlokowanie się mykity. Są to wszakże jamy o chodnikach bardzo wązkich, i dlatego właśnie nie bierze ich borsuk w posiadanie, pozwalając w nich mieszkać kątem mykicie. Dziwna rzecz, że ten sybaryta potrafi być tak gościnnym i nie pokusi się na młodą pieczyste lisią. A wiadomo, że żarłok ów nie poprzestaje na żukach i ślimakach, lecz zjada każdego zajączka i sarnię, które nie zdoła obronić się jeszcze ucieczką. Wczesną wiosną, na świeżo przepadłym śniegu zaznaczył on nieraz swoje mordy, zdradzając się tropem; widziałem go także na gorącym uczynku, jak się delektował, wyżerając młode z gniazd ptaków, lęgnących się na ziemi. Nie gościnność tedy powoduje nim, że oszczędza młode lisięta w jamie, ale że nie może przebyć zbyt wązkich chodników, które do nich wiodą.

Nietylko lis ale i borsuk zapędza się przed psami częstokroć w tak wązką jamę, że zupełnie się w niej obrócić nie zdoła. Wcisnąwszy się raz w tak wązką jamę, zatyka ją sobą zupełnie, a jeżeli dostał się do niej cofając się tyłem przed psami, to psy zazwyczaj źle na tem wychodzą, gdyż niemiłosiernie je kaleczy. Zdarza się jednak, że borsuk nie mogąc psom dotrzymać, odwraca się i ucieka przed niemi. Otóż gdy się w ucieczce tej dostanie w taką wązką jamę iż musi im zad oddać na pastwę, to źle na tem wychodzi, bo jamnik wpija się w jego skórę jak pijawka, tak, że nawet po wykopaniu rozłączyć ich niepodobna.

Pies mniej cięty, nie wiedząc co przed nim jest, czy głowa czy tył, nie zbliży się tak do borsuka i nie wgryzie mu się tak w skórę. Wtedy borsuk ma sposobność tyłem się wycofać, a to tem łatwiej, im większym jest jamnik, bo temu wązkie chodniki stają się niedostępne.

To też, co do mnie, miewałem i mam jamniki tylko małe, jak najmniejsze, ale też każdego lisa sprzedam naprzód, jeśli tylko jest w jamie, z oznaczeniem nawet czasu na minuty. Wyjątek stanowi jama a raczej kryjówka, która ma tylko jeden otwór i wewnątrz nie jest rozgałęziona. Z takiej jamy absolutnie lis wydostać się nie może, bo mu jeden ten wychód zatarasował pies sobą. W taką jamę albo psa nie puszczam, albo też z góry jestem tego pewnym, że będę kopał, nie mam w tem jednak najmniejszej satysfakcyi i wolę psa nie puszczać, niżeli kopać.

Pewnego razu poszliśmy we dwójkę do lasu, bez rusznic i bez psów. Dwom moim jamnikom sprzykrzyło się dłuższe leżenie i czekanie, zmówiły się tedy i poszły za mną do lasu. Może w półtory godziny dopędziły nas w lesie. Złajałem sobaki i chciałem napędzić do domu, tak jednak miłosiernie patrzyły na mnie, że pozostawiłem je przy sobie, zwłaszcza, że trzymały się nogi i nie goniły. Wypadło nam iść niedaleko jam, zebrała nas tedy ochota popatrzyć, czy nie będzie lisa.

Zaledwie zbliżyliśmy się do jam, psy zginęły pod ziemią, i słyszymy że atakują. Byłem pewny, że borsuka tam niema, tylko lis, a tu obaj jesteśmy bez strzelb. Nie długo radząc, co robić, obstawiamy się na jamach z laskami. Było pięć otworów, nie zbyt daleko jeden od drugiego, można było uciekającego lisa z bliska kijem poczęstować a bodaj laską za uciekającym rzucić. Stoimy i nasłuchujemy; tumult w jamie straszny, szamotania i naszczekiwania. Po kilku minutach widzę, że mój towarzysz podnosi laskę nachylając się ku otworowi jamy. Stojąc w tej pozycyi mówi do mnie po chwili:

— Lis jest, widzę go.

Zbliżam się tedy do mego towarzysza i przypatruję się lisowi. Siedział w kółko zwinięty, odwrócony głową do psa, który blisko niego naszczekiwał. Jama była wązka, tak, że ją lis zatarasował sobą zupełnie. Szturkamy go kijem, a wtem jeden pies wybiega na wierzch z wywalonym ozorem, spieszy co może i po przed nasze nogi wpada w jamę wprost na lisa. W tej chwili ustało naszczekiwanie, ale tumult w jamie nie do opisania. Po chwili namysłu, klęknąłem na ziemi, nachylam się, a sięgnąwszy ręką do jamy, ująłem psa za ogon i nogę, i jedną ręką oparty na ziemię, drugą ciągnę psa z całej siły. Ale trudna sprawa, bo jamnik, będący z drugiej strony, chwycił się z lisem ząb za ząb i ciągnie ku sobie. Z ciężką biedą wyciągnąłem psa natyle, że lis pokazał oficyny i zgiętą we dwoje kitę. Mówię tedy do mego towarzysza:

— Bierz go za kitę i ciągnij do góry, bo ja się boję, ażeby psu nogi nie uszkodzić.

Towarzysz mój nie dał sobie tego dwa razy mówić, nachylił się — łap lisa za kitę i wio! z nim do góry. Puściłem wtedy psa, chwyciłem za nogę lisa i ciągniemy go na wierzch. Ale jama wązka była i spadzista, a pies, który trzymał lisa od oficyn, tarasował sobą jamę i obu razem nie można było żadną miarą z jamy wydobyć. Musiałem tedy ująć jamnika znowu za obie tylne nogi i ciągnąć go razem z lisem. Wyciągnęliśmy ich wreszcie na tyle, że jamnik był całkiem na wierzchu. Wtedy puściłem psa a ciągniemy już tylko lisa, i z nim jamnika, który od frontu jął się z lisem jak kleszczami. Jamnik, któregośmy wyciągnęli, widząc się na wierzchu, przypadał do lisa i chwytał go coraz bliżej ku przodowi, aż go wreszcie jął u dołu szyi za krtań. Podnieśliśmy wówczas lisa całkiem w górę, tak, że i obydwa jamniki wisiały w powietrzu trzymając się lisa jak pijawki. Jamnik od przodu i lis trzymali się pyskami tak, że pies trzymał i gryzł lisowi wierzchnią szczękę i nos, lis natomiast, trzymając jamnika za dolną szczękę, przedziurawił mu zębami język i miękusz pomiędzy dolną szczęką na wylot. Rzuciliśmy lisa i jamniki na ziemię, starając się uwolnić psa, którego lis za szczękę trzymał, ale było to niepodobieństwem. Dopiero gdy pies trzymający lisa za krtań dobrze go zdusił i snać powietrza mu zabrakło, otworzył lis

pysk, a wtedy, chcąc zapobiedz powtórnemu chwyceniu psa, włożyłem mu laskę w mordę. Pies puścił go także, ale chwycił za ziobra, które pod naciskiem trzeszczały i w kilka minut lis już nie żył, choć ani razu nie uderzyłem go laską, zostawiając psom całą zasługę pokonania nieprzyjaciela.

Jeden jamnik odniósł w tej walce cięcia bardzo dotkliwe; język miał podziurawiony, krew z niego uchodziła strugą a pełno cięć otrzymał też po trąbie. Trzeciego dnia dopiero mógł wypić trochę mleka i opuchł na całej głowie. Obawiałem się, że zginie, ale w kilka dni był już zupełnie zdrów, i wybrałem się z niemi na znane jamy lisie w skalistym brzegu bardzo stromym. Nie były to jamy kopane, ale rozpadliny między skałami, z pomiędzy których woda ziemię uniosła. Musiały one mieć wewnątrz wygodne urządzenie, bo zawsze tam lisy mieszkały i co roku wychowywały młode. Jama a raczej rozpadlina ta miała „odpar“ (drugi wychód) o jakie 40 kroków od „okna“ wchodowego. Jak te odpary były urządzone, trudno było widzieć, skała bowiem była stroma, nawet dla lisa i psa z trudnością przystępna, nie musiała mieć jednak wewnątrz wiele chodników, a to stąd wnoszę, że gdy się w nią psy zapuściło, lis ani minuty w jamie nie wytrzymał i opuszczał ją, uciekając drugim odparem. Wiedziałem, w którem miejscu jest odpar, więc przed puszczeniem psów ulokowałem się tak, aby módz do lisa strzelać. Tą razą zbliżywszy się ku odparowi, ujrzałem formalną ścieżkę ubitą, więc byłem pewny, że zastałem pana Mykitę w domu i nie daremnie czekać będę na jego powitanie.

Gdym stanął na miejscu, gajowy puścił pieski. Chwila już upłynęła, lis się nie pokazuje. Cóż za licho?! Stoję do uprzykrzenia, a tu ani mykity ani psów, słyszę tylko stłumione naszczekiwania. Tak stałem niemal pół godziny; wołam wreszcie gajowego i mówię:

— Żebyś ty się mógł spuścić jak na dół i posłuchał koło jamy, co tam się dzieje?

Z ciężką biedą dostał się gajowy do jamy, którędy psy poszły i woła do mnie:

— Szczekają, ale gdzieś bardzo daleko, zaledwie co słychać.

Mówię mu tedy, ażeby popatrzył do drugiego odparu, i wskazuję mu miejsce, gdzie ma być otwór. Gajowy spuszcza się, szuka i twierdzi, że tam żadnego otworu niema.

— Ale musi być — rzekę — przecież sam wiesz, że tam jest odpar.

— Ta wiem, proszę pana, że był, ale coś się stało i teraz niema jamy.

Nareszcie po dłuższem szukaniu mówi gajowy:

- Jest jama i słychać psy, ale otwór zamarzł całkiem lodem.

— Trzeba wyrąbać lód — mówię.

— Aj panie, kiedy to cały słup lodu od góry aż do dołu, gdyby jeszcze siekiera, to możebym co zrobił.

— Nic ci nie pomoże — odpowiadam — szukaj kamienia i tłucz nim dopóty, dopóki nie rozbijesz; to nie żelazo tylko lód.

Chcąc nie chcąc, wziął się gajowy do tłuczenia lodu i w jakie pół godziny woła:

— Już jest jama i psy niedaleko szczekają, a lis proszę pana jest w jamie.

— A widzisz go? — pytam.

— Nie! — odpowiada — ale tak śmierdzi, że strach! Gdzieś tu zaraz blisko siedzi.

— Odstąp od jamy — wołam do gajowego.

Gajowy odstąpił i w minutę potem wyjechał pan Mykita. Nastawiłem rusznicę, posłałem mu garść śrutu, lis stoczył się na dół po kamieniach.

— Eh, to dostał! — woła gajowy. A w tej chwili widzę drugiego lisa. Trzask z drugiej lufy.

— Jest drugi! — woła gajowy uradowany.

— Ale psów nie widać z jamy. Domyślam się tedy, że jeszcze jeden lis musi być w jamie. Dobywam prędko ładunek i jeszcze go dobrze w lufę nie włożyłem, a już widzę lisa, jak szuruje wprost na mnie. W tej chwili gon jamników odezwał się na wierzchu. Włożyłem ładunek i trzasnąłem zamykając rusznicę, a lis był już parę kroków przedemną. Ujrzawszy mnie tak blisko, rzuca sobą ze skały na dół, ale już nie wstał, bo śruty go dopędziły. Jamniki rzuciły się ze skały za nim i ledwie dym z przed lufy się rozszedł, ujrzałem jamniki skłębione i staczające się z lisem z uboczy na dół.

Jaki miałem humor, widząc z góry trzy lisy rozciągnięte — każdy myśliwy łatwo pojmie. Gajowy z radości, nie szukając łatwego zejścia, zjechał na „oficynie“ w jednej chwili ku pieskom.

Było to pierwsze i ostatnie w życiu mojem takie spotkanie z lisami w jamie, gdyż nigdy nawet dwa lisy razem w jamie nie zastałem.

Strzał do lisa z jamy ocenić potrafi tylko ten, kto z jamnikami poluje; za dziesięć ubitych przed nagonką nie dałbym jednego, zastrzelonego przy jamie.

A teraz, zabrawszy jamniki, idźmy od lisów do borsuków.

Zapewne niejeden z czytelników wielkie zrobi oczy wyczytawszy, że dobre jamniki i borsuka z jamy wypędzą. Wprawdzie nie każdego — dodaję, lecz mnie z mojemi psami często się zdarzało, że strzelałem do borsuka jak do lisa uciekającego z jamy, bo nie mógł sobie dać rady z pieskami. Zdarzało mi się, że z jamy uciekał w las, albo tylko z jamy do jamy o kilkanaście kroków rad się był przedostać. Wystarczało to jednak, aby mu posłać nabój śrutu i przeszkodzić zamiarom.

Na dowód mych twierdzeń, opowiem tylko jeden fakt, powołując się na świadectwo, przekonywujące każdego, kto by mnie posądzał o przesadę.

Razu jednego w miesiącu listopadzie, kiedy to borsuk jest najsadlistszy, wybraliśmy się z kochanym i niezrównanym moim towarzyszem polowań, ks. kanonikiem Andrzejowskim, z psami na borsuka. Ks. kanonik przyjechał bez rusznicy, ja także jej nie brałem. Był z nami podleśniczy, który miał dwururkę. „Wystarczy“ mówimy i zabrawszy tylko dwie sobaczki, poszliśmy do lasu na znane nam jamy gdzie borsuk był pewnym. Towarzyszyło nam dwóch gajowych z ryskalami do kopania.

Puszczone jamniki ogłosiły zaraz.

— Jest w domu — rzecze ks. kanonik.

Jamy były przestrone ale dość płytkie, tak, że psy słychać było wybornie.

— Czekajmy — rzecze ks. kanonik — niech go psy ostanowią, a wy chłopcy duchem z ryskalami, jak się wam pokaże, gdzie kopać.

Gon słyszeć się dawał coraz to w innym kierunku, kilka razy zdawało się, że już psy borsuka osadziły w kącie — już gajowi mają się zabierać do kopania — a wtem sytuacya się zmienia, w jamie słychać łomot, targanie się i wkrótce psy znowu gonią i naszczekują w innem miejscu. Wreszcie psy głoszą dłuższy czas w jednem miejscu.

— No — mówi ks. kanonik — już go teraz nie puszczą. Tu kopać!

Lecz zaledwie dał polecenie, następuje ta sama historya, znowu psy zmieniły stanowisko.

— A to majster! — mówi ks. kanonik. I słyszymy żwawy gon po jamie, a w tej chwili któryś z chłopców zawołał: Pilnuj! bij! Borsuk wypadł z jamy, a tuż za nim jamniki.

— Uważać na psy! — wołam na podleśniczego, który nastawił dwururkę. Strzelił ale chybił, bo psy przeszkadzały do strzału.

Poszedł tedy borsuk, a psy za nim. O jakie dwa do trzech tysięcy kroków były drugie jamy, wołam tedy do podleśniczego:

— Gonić na przełaj do jam! psy go zaprowadzą. — Podleśniczy poskoczył na przełaj, a my wraz z ks. kanonikiem za psami. Kilka razy psy zatrzymały borsuka, jednak nie na długo, zmienił wszakże kierunek, i zdąża wprost do jam, dokąd i podleśniczy podążył. Podleśniczy stanął na jamach prędzej niż borsuk, lecz zaledwie kilka sekund wolno odetchnął, już widzi borsuka i psy, przypuszcza tedy borsuka na jakie 30 kroków, strzela i borsuk się zwinął. Psy wpadły na niego, lecz niedługo trzymać go zdołały, ciął jednego i drugiego, i ucieka dalej, ale już nie do jam. Psy podochocone, widząc, że mają pomoc w podleśniczym, dochodzą borsuka znowu i osadzają. Borsuk zawarował pod gęsto zwartemi drzewami, psy osaczyły go, ruszyć nie może, więc dobiegł i podleśniczy, ale nie strzela do borsuka, tylko czeka i nawołuje nas. Przychodzimy — jest borsuk. Podleśniczy stoi nad nim, a psy, ujrzawszy że nas jest tylu, nabierają animuszu i coraz lepiej przyskakują do borsuka.

— Weź go „Mortku“! — zawołałem na psa.

W tej chwili rzuciły się psy jak na komendę, której rozkaz spełnionym być musi, chwyta borsuka jeden z jednej drugi z drugiej strony, i zwijają się w jeden kłębek. Borsuk broniąc się tnie, odrywa to jednego to drugiego psa od siebie. Nareszcie, w obronie psów, wyczekując stosownej chwili, uderzyłem borsuka kilka razy po łbie i po nosie, a gdy już przestał psy ciąć, pomagając psom, dalszą egzekucyę dopełnili gajowi.

— Zacne sobaczki! — rzecze ks. kanonik. — A powiedz pan komu, że starego ogromnego borsuka wypędzają z jamy, to nie uwierzy.

Takie to jamniki bywają, jeżeli są dobrze ułożone, takie też miewał i p. Wawrzyniec i on mi powiedział, jak jamniki układać, ażeby z nich mieć pociechę.

Przytoczyłem dowody, jak tresura taka wprawia jamnika do polowania na lisy i borsuki, lecz wspomniałem, że i na kuny z jamnikami polować można i że w tym celu powinny być także tresowane.

W okolicy mojej, gdzie obecnie przemieszkuję, było kun tak dużo, jak nigdzie. Dzięki jednak moim jamnikom, zabiłem zeszłej zimy jeszcze dwie, a tej zimy ani jednej i przez całą zimę, ku memu wielkiemu niezadowoleniu, nawet tropu kuny nie widziałem. Przedtem zabijałem rocznie kilka a nawet kilkanaście sztuk. Zima r. 1887/8 dostarczyła mi 15 sztuk, a zawdzięczam je przeważnie jamnikom. Wynosiły mi je ze skał, gdzie otwór był tak dużym, że jamnik się mieścił i zwykle już nieżywą wynosił kunę na wierzch; wypędzały mi je z budynków folwarcznych, ze strychów, stajen zawalonych okłotami, sianem, paszą, skąd mowy być nie mogło, ażeby i przy pomocy kilku ludzi kunę wypędzić. W tym wypadku postępowałem w ten sposób, że brałem jamniki, a dostawszy się po drabinie do otworu w strzesze, którędy kuna zaszła, tym otworem wpuszczałem psy i sam z rusznicą czekałem, aż mi ją na wierzch wygonią. Otóż muszę wyznać, że nigdy nie było wypadku, ażeby mi pieski kuny nie wypędziły.

Dalej wynajdywały mi kuny bez śniegu w kupach gałęzi, w sągach, a nawet w dziuplach drzew, które nie zbyt wysoko od ziemi się znajdowały.

Zdarzało mi się, że będąc sam, nie mogłem w żaden sposób wyszturkać i wypędzić kuny z takiego dziupła, bo ona z natury twardo siedzi i trudno ją wypędzić, tem bardziej, gdy słyszy psy hałasujące. Nie było więc innej rady, jak tylko zatkać dziupło patykami i zostawić ją tak zabarykadowaną aż do dnia następnego. Na drugi dzień przy pomocy gajowego z siekierą dokonywały się łowy.

W ten sam sposób dostarczyły mi moje pieski także skór z tchórzów, których obecnie także prawie niema u mnie.

A kiedy już rozgadałem się o rabusiaah, niszczących naszą zwierzynę użyteczną, wspomnę jeszcze o jednym, na którego brak mi sposobu do tępienia, bo nawet jamnik jest w tym celu nieużytecznym. Rabusiem tym jest nasza, tak mało zwracająca na siebie uwagi ł a s i c a (*Foetorius vulgaris*). Szkodnik to niezwykły, i prędzej lis aniżeli łasica cierpianym być może. Drapieżnica ta, wiecznie chciwa mordu, niszczy małe zajączki, a nawet sarny, i ogołociwszy rejon, w którym się znajduje, przenosi się dalej, szerząc na około zniszczenie. Schronienie łasicy jest nieprzystępne zarówno dla psa jak i dla człowieka; obiera zwykle mysie jamy i wędruje niemi daleko popod ziemię. Rzadziej przesiaduje w zbutwiałych pniach i tylko czasami da się stamtąd wypędzić.

Bardzo dużo przytoczyćbym mógł dowodów o szkodliwości łasicy; schwytałem ją nawet na gorącym uczynku, jak w przeciągu kilku minut troje małych zajączków uśmierciła. Rzecz się tak miała. Jestem w lesie, a gajowy mówi mi, że pod sągiem przydybał troje małych zajączków. Szedłem właśnie w tym kierunku, więc przechodząc wraz z gajowym obok rzeczonego sąga i popatrzyłem na owe zajączki. Rzeczywiście siedziało ich troje w maleńkiej kotlince, czterydo pięciodniowych.

— Chowajcież się zdrowo! — rzekłem, popatrzywszy na ten drobiazg i poszedłem dalej.

W kilka minut wracam z tym samym gajowym, a doszedłszy do owego sąga, słyszę słaby krzyk zajączka. Zbliżam się i widzę zajączka w ostatnich drganiach, a łasica wisi mu jak pijawka na karku, nie zwracając nawet uwagi na to, żeśmy z gajowym stanęli i jej rozbojowi się przypatrujemy. Uderzyłem laską i zabiłem rozbójnika. Dwa zajączki były już nieżywe, a trzeci dawał tylko słabe znaki życia i wnet się martwy rozciągnął.

Niejednokrotnie napotykamy gniazdo nieżywych zajączków, lecz nie podejrzywamy o to łasicy, przypuszczamy inne powody i kończymy konkluzyą: poginęły. Proszę tylko bliżej każdy taki fakt zbadać, a niemal każdym razem przyjdziemy do pewności, że zajączki same nie poginęły, tylko je łasica pomordowała. Zdradzi to maleńka ranka, prawie trudna do zoczenia na szyi lub głowie.

Znachodziłem nawet sarniątka małe, nieżywe, z tym samym znakiem, świadczącym, że je łasica zamordowała. I niestety brak nam środków na rabusia, bo nawet najmniejsze jamniki do nory jego się nie dostaną.

Niedawno temu, jechałem w miesiącu sierpniu z Probużny do Kopeczyniec. Zboża były już pozbierane, tu i ówdzie stała jeszcze lenta na pniu i kukurudza. Jadąc zoczyłem małego, mniej niż do połowy wyrośniętego zajączka. Wybiegł z kukurudzy na ścierń, biegł w kierunku ku mnie, wreszcie zwrócił się w poprzek ścierni i wpadł w lentę stojącą na pniu. Straciłem go z oczu, ale w tej chwili widzę,

że coś małego podskoczyło i napowrót w lentę wpadło. W kilka sekund widzę taki sam podskok, ale już bliżej i poznaję łasicę, a w tej chwili zając wypadł z lenty na ściernь, przebiegł przez drogę o kilkadziesiąt kroków odemnie w trop za nim zaś, może o jakich 30 kroków po przed konie, łasica. Kazałem chłopakowi stanąć, chwyciłem batog i pogoniłem za łasicą, lecz zając niestety wpadł w kukurudzę a łasica tropem za nim pogoniła. Nie mogłem dośledzić, co się dalej stało, łan kukurudzy był długi, nie ujrzałem więcej ani zająca ani łasicy, ale podejrzywam, że stał się pastwą zaciekłej morderczyni.

I tak niejeden zajączek ginie w uściskach drapieżnej łasicy, a walka jest trudną z tym małym i zwinnym rabusiem — chyba dostanie się w szpony silniejszego rabusia i odbierze karę zasłużoną.

Inne wszakże drapieżce kniei jak lisy, szczególniej wtedy, gdy wychowują młode i zaprawiają je do mordów, borsuki, kuny i tchórze, możemy trzymać w ryzach i tępić, skoro tylko trzymać będziemy jamniki, zaprawione należycie do tępienia szkodników.

Jeżeli zatem polowania z ogarami, gończakami, chartami mają już wskutek zmiany kulturalnych warunków znikać coraz bardziej w mgłach przeszłości i stawać się tylko miłą tradycyą — to racyonalne łowiectwo i potrzeba tępienia szkodników domagają się stanowczo, abyśmy ożywili hodowlę jamników i rozszerzali je coraz bardziej jako najlepszych czeladników w łowach na pomniejsze i częstokroć w inny sposób nieuchwytne drapieżce.

Ago.

KORESPONDENCYE.

Koniuszków d. 14. kwietnia 1894.

(Krogulec w kuchni.)

Nieraz już byłem świadkiem napadów rozbójniczych ptactwa drapieżnego na gołębie lub drób swojski, ale o podobnym wypadku, jaki tu wczoraj się wydarzył, jeszcze dotychczas nie słyszałem i dlatego podaję go do „Łowca“.

W kuchni tutejszego urzędnika wyhodowała kwoka dość liczne potomstwo na pociechę pani domu i jej kucharki, chwackiej dziewczyny Tekli. Otóż ta wczoraj około 9 godz. rano, wypuściwszy kurę z pisklętami na małą przechadzkę po świeżem powietrzu, była tak roztropną, że drzwi kuchenne pozostawiła otworem, aby każdej chwili mogła obserwować kochane kureczki.

Nie minęło jednak więcej niż dwie minuty, gdy kwoka wpadła wraz z wszystkiemi kurczątkami z wrzaskiem do kuchni a tuż za nią ptak, który w jednej chwili z nią zawzięty bój rozpoczyna. Tekla w pierwszej chwili oniemiała z przerażenia, ale odzyskawszy wnet przytomność, zatrzasnęła drzwi kuchenne i pobiegła do przyległych pokoi do pani z nowiną „że sowa jakaś pryłetiła do kuchni i z kwoką się bije“.

Pani wbiegłszy do kuchni, gdzie bój bez wytchnienia i mimo obecności już teraz dwóch osób, między krogulcem a kurą dalej się toczył i to w ten sposób, że krogulec chwilowo na kurze, a chwilowo pod nią się znajdywał, — poznała natychmiast, że to nie sowa, ale znajomy jeszcze z przeszłego roku nieprzyjaciel jej drobiu, o którego zgładzenie z tego świata sama mnie kilka razy prosiła. Moje zabiegi były jednak wtedy daremne, albowiem nigdy w ogrodzie na strzał podejść się nie dał.

Teraz złoczyńca sam wpadł w ręce nieubłaganej Nemezys; przetaki, tacki, rondle zaczęły na niego zlatywać, krogulec puszcza już wtedy kurę, szukając ratunku w ucieczce ku oknu, lecz tu ujęła go odważna Tekla, mimo że ją w palec boleśnie dzióbem ukąsił i pazurami ręce podrapał.

Nałożono winowajcy kajdany na nogi i skrzydła i ułożono z tryumfem na podłodze; ale wstążki, któremi był skuty, nie były dość silnie związane, więc krogulec podskoczył jeszcze na meter wysokości raz i drugi w kierunku do kury. Musiano go na nowo silniej związać, a wtedy właśnie nadszedł stróż, który życiu tego krwiożerczego ale i odważnego ptaka kres położył.

Skarb tutejszy płaci strzałowe od ptaka drapieżnego 20 ct. Odważna Tekla, której przepis ten był znanym, zażądała ze względu na strach jaki doznała i na odniesione w boju rany podwójne strzałowe, co jej też wypłaciłem.

Ignacy Frenkl.

KRONIKA.

Pawilon leśno-łowiecki na placu powszechnej Wystawy krajowej jest już prawie w całości wykończonym i przedstawia się okazale. Smukła jego wieżyca widzialną jest na horyzoncie już u samego wstępu na wystawę, choć niemal kilometrowe corso dzieli ją od głównej bramy. Wygodne schody we wieżycy prowadzą na szeroki wewnętrzny balkon, który okala wysoką główną halę i jest również na okazy wystawowe przeznaczony.

Temi dniami rozpocznie się instalacya pawilonu pod kierownictwem przewodniczącego sekcyi p. Stanisława Matkowskiego, hr. Stefana Szembeka i obu referentów pp. A. Goralczyka i W. Spausty. Obok wspaniałych trofeów, zgromadzą się tu ciekawe okazy leśnictwa i przemysłu leśnego, które rozrzucone zostaną również pod gołem niebem na obszernym, do pawilonu przylegającym placu. W pawilonie znajdzie także pomieszczenie krajowa szkoła leśna. Najmniej

trzystoletni cis, posadzony w środku hali, odnawia swe szpilki i ma tak dobrą minę, jak gdyby chciał się na zawsze przyjąć na placu wystawy i zostać wieczystą jej pamiątką.

Próby zdolności wyżłów w Niemczech. Na próbach zdolności dla wyżłów roczniaków, które klub „Nimrod“ dnia 16 kwietnia na polach Krajki, dóbr, należących do p. von Rath pod Wrocławiem urządził, nie odznaczył się żaden konkurent wskutek silnego wichru i trudnego z tej przyczyny pola, żaden też pierwszej nagrody nie otrzymał; drugą nagrodę rozdzielono pomiędzy krótkowłosą wyżlicę „Ewę“ i drutowłosego „Floka“.

W kilka dni później służyła lepiej pogoda klubowi niemieckiemu (*Deutscher Jagdklub*) pod Berlinem. Boreasz nie bałamucił piesków i „Trumpf-Otto“, krótkowłosy legawiec p. Wrazdy z Pullitz w Mazonii, odniósł pierwszą, a drutowłosy „Flock“ drugą nagrodę.

Na próbach zdolności pod Bydgoszczą dnia 23 kwietnia zdobyła znana ze swych laurów „Brzytwa“ p. Neymana pierwszą i honorową ugodę, a krótkowłosy „Nimrod-Oppeln“ podzielił z drutowłosym „Flockiem“ drugą nagrodę. Jestto dwudzieste zwycięstwo, które w ciągu roku słynna „Brzytwa“ pod kierownictwem swego pana, a naszego współziomka odniosła. *Vivat sequens!* Czyli daj nam Boże więcej takich piesków.

Paryżanki zapalają się coraz bardziej do sportu myśliwskiego — czy z zamiłowania do przyrody, do trudów i niebezpieczeństw życia łowieckiego, czy z zachwytu dla coraz gustowniejszych i kokieteryjnych kostiumów myśliwskich, które krawcy paryscy dla owych *Dianes Chassereuses* wymyślają — kwestya trudna do rozwiązania. To tylko pewna, że w ubiegłym sezonie myśliwskim pan prefekt departamentu Sekwany wydał kobietom o 600 kart myśliwskich więcej, niż w latach ubiegłych.

Zdziczałe kury. Jedno z niemieckich pism myśliwskich opowiada, że pewien dzierżawca polowania w Bawaryi, w pobliżu granicy tyrolskiej, zwiększył stan zwierzyny na swojem terytoryum przez sztuczne zdziczenie drobiu domowego. Kury domowe, trzymane i karmione w lesie, zdala od gospodarstwa, po kilku miesiącach dziczeją, a potomstwo ich zastosowuje się do tego stopnia do warunków nowego sposobu życia, że samo umie się obronić i wyżywić. Przytem zmienia się jego postać i natura. Kury stają się mniejsze i dostają upierzenia popielatego. Mięso ich ma być nadzwyczaj smaczne, lepsze od mięsa bażantów. Strzelać je nie jest łatwo, gdyż są bardzo płoche i wzlot mają szybki. Chcąc, aby się rozmnożyły, trzeba starannie tępić drapieżnych szkodników. Można w ten sposób tanim stosunkowo kosztem podnieść w okolicy stan zwierzyny.

Aklimatyzacya rena. Przed kilku laty sprowadzono do Estonii kilka par renów, chcąc uczynić próbę, czy porosty tamtejsze okażą się odpowiedniem pożywieniem dla rogacza północy i dozwolą mu się tam zaaklimatyzować. Otóż *Dorpacka Gazeta* donosi, że próba tej aklimatyzacyi rena miała się powieść. Już przed dwoma laty widziano tu i owdzie po lasach stadka renów, a ubiegłej zimy także się miały w rozmaitych lasach Estonii pojawiać.

„Nina“, samica hipopotama, którą pod tą nazwą znał cały Berlin, gdyż od r. 1875 przebywała w tamtejszym ogrodzie zoologicznym, zakończyła swój żywot, a fakt ten zanotowały wszystkie pisma berlińskie, bo łagodna, spokojna Nina była ulubienicą publiczności. Przez cztery tygodnie przed śmiercią nie chciała przyjmować żadnych pokarmów i bez żadnego skutku zadawano jej różne leki. Powód śmierci odkryła dopiero sekcya. Oto w żołądku Niny znalazł się balon gutaperchowy, którego kwas żołądkowy nie mógł pokonać, a który zamykał szczelnie ujście żołądka do kiszek i tem samem dalsze przyjmowanie pokarmów i odżywianie się uniemożebniał. Widocznie jakaś ręka dziecięcia rzuciła ów balonik do basenu lub koryta z żywnością dla Niny i stała się powodem śmierci wodnego kolosa.

Pies zbawca. Wzruszająca scena rozegrała się niedawno temu w Berlinie, nad jednym z kanałów Sprewy. Grono drobnych dzieci, bawiących się na moście bez dozoru starszych osób, poczęło spinać się po poręczach. Naraz mała 5-letnia córeczka buchaltera K. traci równowagę i wpada do wody. Obecny właśnie w pobliżu ogromny dog, rasy niemieckiej, nie zachęcany przez nikogo, widząc co się stało, rzuca się z własnego popędu w nurty, a gdy dziecina wynurzyła się na chwilę z wody, chwyta ją za kołnierz zębami i podtrzymując nad powierzchnią, poczyna płynąć ku znajdującemu się w pobliżu statkowi. Krzyk innych dzieci przywabił wówczas flisaków, którzy, podpłynąwszy szybko czółnem, wydobyli z wody zbawcę i uratowaną przezeń od niechybnej śmierci dziecinę. Mądre psisko okazywało niekłamaną radość ze swego czynu, obwąchując i liżąc dziecinę, oraz wdzięcząc się do flisaków. Dog ten, własność jednego z miejscowych bankierów, jest dziś w Berlinie bohaterem dnia.

Olbrzymie jajo. Z końcem z. r. znaleziono na Madagaskarze jajo kopalnego ptaka olbrzymiego (*Aepyornis maximus*). Płynęło ono z prądem morskim w odległości około 20 mil morskich od zatoki Augustyna i zostało przez krajowców z morza wyłowione. Przypuszczają, iż zostało przez bałwany morskie z brzegu wypłukane i na otwarte morze zapędzone, a to w czasie wiosennych orkanów, które po piaszczystem odpłuczysku na południowo-zachodniem wybrzeżu wyspy szalały.

Wiadomo, iż resztki ptaka olbrzymiego i jego jaj znachodzono dość często w korycie rzeki Sakalawy. Pomiędzy mieszkańcami wyspy znaleść można cenne, duże naczynia ze skorup tych jaj wyrobione. Świeżo znalezione jajo jest białawo-brunatnej barwy i mierzy $33^1/_2$ cali angielskich w długiej, a 28 cali w krótszej średnicy, jest zatem sześć razy większe od jaja strusiego i może w sobie pomieścić 150 jaj kaczych. Ciekawy ten egzemplarz został do Londynu zakupiony.

Godną wielkości tych jaj, jakie kiedykolwiek ptak znosił, były i rozmiary samego ptaka. Kości jego goleniowe mierzą 60 centym. a kość stopowa 47 cent. Wszystkie części kośćca ptaka olbrzymiego nie są jeszcze dotąd znane, zdaje się jednak nie ulegać wątpliwości, iż był to rodzaj strusia, który już przed 200 laty zupełnie wyginął. Prawdopodobnie o tym ptaku wspomina w relacyach swych głośny podróżnik z XIII wieku Marek Polo, nazywając go „Rukh“. Później poczytywano opowiadanie Marka Polo za bajkę, aż nareszcie przyznano mu pewną ważność przyrodniczą, gdy przed 40 do 50 laty odkryte zostały pierwsze szczątki ptaka olbrzymiego w namule rzek Madagaskaru.

Szanownych członków Towarzystwa łowieckiego, którzy za lata poprzednie i tych, którzy za rok bieżący zalegają z wkładkami, uprasza Zarząd Towarzystwa o jak najrychlejsze wyrównanie rachunku, gdyż bylibyśmy zmuszeni zaprzestać wysyłać im „Łowca“.

ZAKŁAD KĄPIELOWY W RYMANOWIE.

Zakład zdrojowo - kąpielowy Rymanowski leży o sześć kilometrów od stacyi kolei transwersalnej **Rymanów**, w uroczej dolinie karpackiej wśród gór pokrytych lasami szpilkowemi.

Najdogodniejsze pomieszkania ofiaruje:

Dom pod Matką Boską

najokazalszy, niedaleki od źródeł i łazienek, a odosobniony, pośród lasu szpilkowego, w malowniczem bardzo położeniu, wzniesiony znacznie po nad poziom, a więc wolny od wszelkiej wilgoci, o 3 obszernych werandach i balkonach, zawierający 29 pokoji obszernych, a 10 większych z dużemi przedpokojami.

Ceny umiarkowane.

Zamówienia przyjmuje **Władysław Zontak,** właściciel, na miejscu w Rymanowie, lub we Lwowie, przy ulicy Teatralnej 18.

Srebrny medal wystawy psów w Wiedniu r. 1885 i 1886.

KWIZDY PIGUŁKI DLA PSÓW

Uważać prosimy na powyższą markę ochronną.

KWIZDY
Woda na oczy dla zwierząt domowych.
Flaszka 80ct. w. a.
Olej na liszaje i parchy u psów.
Flaszka 1·50
Kapsułki żelatynowe na robaki u psów.
Pudełko 1 zł. w. a

Prezerwatywa przeciw **psiej chorobie** (Staupe) i **zatkaniu** i jako pomocny środek przy wyrzutach skórnych.
Pudełko 1 zł. w. a.
Spratt'a mięsno-włókniste suchary dla psów.
100 klgr. 33 zł. — 50 klg. 17 zł. — 5 klgr. (pakiet pocztowy) 1 zł. 80 ct.
GŁÓWNY SKŁAD
Apteka obwodowa w Korneuburg p. Wiedniem

KWIZDY
Olej na robaka usznego u psów.
Flaszka wraz z pędzlem 1 zł. 50 ct.
Uprzyw. „Restitutionsfluid", wzmacniający i podniecający środek do obmywania i nacierania.
Flaszka 1 zł. 40 ct
Mydło dla psów i innych zwierząt domowych przeciw swiądowi skóry i t. d.
1 kawałek 40 ct.
½ puszki 80 ct.
cała puszka 1 zł. 60 ct.

Do nabycia we wszystkich aptekach.

Franciszek Kwizda ces. i kr. aust. i królewsko-rumuń. Dostawca nadw.

z dniem 1. listopada 1893

został otwarty

pierwszy krajowy

ZAKŁAD BIAŁOSKÓRNICZY

KONSTANTEGO LEWANDOWSKIEGO

przy ulicy Na Błonie Nr. 28 a. we Lwowie.

Przyjmuje do wyprawy wszystkie skóry krajowe jako i zagraniczne, wyprawia li tylko z włosem na sposób angielski i lipski.

Przyjmuje także do odświeżania zarękawki, boa, kołnierze futrzane i t. d.

Za gotówkę zakupuje się:

PAROSTKI SARNIE i WIEŃCE JELENIE z CZASZKĄ,

jakoteż pojedyncze rożki sarnie i jelenie. Oferty uprasza się zgłaszać pod adresem:

Annoncen-Expedition A. V. Goldberger,

Budapest, Waitznergasse 9. sub. B. 46.

Fabryk

i Główny Magazyn Broni i Przyborów myśliwskich i łowieckich

Alfreda Dzikowskiego

we Lwowie, ul. Karola Ludwika 1.

poleca na sezon polowań

najznakomitszą Broń myśliwską

własnego wyrobu

jakoteż najsłynniejszych fabryk angielskich, amerykańskich, francuskich, belgijskich, czeskich i niemieckich.

którychto jedyne zastępstwo dla Galicyi posiada

mianowicie:

Wrigtha w Birmingham	**Henrie Piepera** w Liege
Colta w Londynie	**A. Francottego** w Liege
Schmidt & Wesson w Londynie	**Rouge Fis** w Liege
Kanka-Kanka w Ameryce	**Collatha** w Frankfurcie
	Dreysego w Soemmerda

JEDYNY SKŁAD FABRYCZNY

Łusek nabojowych i Ładunków ostrych

akcyjnego Tow. w Pradze

sprzedaż hurtowna i drobiazgowa.

Olbrzymi wybór wszelkich przyborów myśliwskich, do konnej jazdy i szermierki.

C. k. sprzedaż wszystkich gatunków

Prochu strzelniczego.

Śrut twardy angielski.

Własna pracownia rusznikarska, wyszczególniona na wszystkich wystawach dyplomami i medalami przez Wys. c. k. Ministerstwo handlu, przyjmuje wszelkie w zakres rusznikarstwa wchodzące roboty, i wykonuje takowe z wszelką dokładnością i gruntowną znajomością — po cenach umiarkowanych.

Ilustrowane cenniki na żądanie bezpłatnie.

PAROSTKI SARNIE

jakoteż

WIEŃCE JELENIE

kupują za gotówkę:

Weise & Bitterlich, Georgeswalde w Czechach.

Również zakupuje się pojedyncze rożki i tyki w każdej ilości.

Redakcya „Łowca" posiada jeszcze mały zapas

ROCZNIKÓW „ŁOWCA" z r. 1892.

Egzemplarz broszurowany kosztuje 3 zł. 50 ct.

Roczniki brosz. z r. 1893 po cenie 4 złr.

Sekretarz i Skarbnik gal. Towarzystwa łowieckiego **Władysław Zontak** ulica Teatralna 18.

Wydawca i odpowiedzialny redaktor **Juliusz Starkel** ulica Zimorowicza 7.

Z drukarni Pillera i Sp. we Lwowie.